

LUBLIN

15.1.1964

Nr 1 (287)

ROK XXXI

CENA 2 ZŁ

# KAMENNA

## DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN — BIAŁYSTOK — KIELCE — RZESZÓW

## WYCHOWANIE — POLITYKA — KULTURA

Wywiad z członkiem KC PZPR

I sekretarzem KW PZPR w Rzeszowie Władysławem Kruczkim

„Szczególnie cieszy nas rozwój życia kulturalnego w województwach do niedawna zacofanych pod względem kulturalnym, takich jak zielonogórskie, szczecińskie, rzeszowskie, warszawskie i inne. Wielką rolę w tych i innych województwach w inicjowaniu i rozsądnym kierowaniu życiem kulturalnym miast i wsi odgrywają komitety partyjne. Cennymi osiągnięciami mogą się również poszczycić niektóre terenowe organizacje młodzieżowe”.

Władysław Gomulka  
z materiałów  
XIII Plenum KC PZPR

Dziennikarz: Większość pytań stawianych przez dziennikarzy sekretarzom komitetów wojewódzkich dotyczy zazwyczaj problematyki ogólnoeconomicznej. Chciałbym odstąpić od tego zwyczaju. Niedawno odbyło się w Rzeszowie plenum Komitetu Wojewódzkiego Partii poświęcone realizacji uchwał XIII Plenum KC. Słyszałem, że było przygotowane w sposób odmienny niż inne tego rodzaju posiedzenia plenarne KW.

W. Kruczek: Istotnie. Omawiając problemy XIII Plenum KC posłużyliśmy się materiałem, który został zebrany przez specjalne zespoły towarzyszące pracującym bezpośrednio w terenie. Wyposażyliśmy ich w ankietę z szeregiem pytań, na które odpowiadał członkowie wiejskich i powiatowych organizacji partyjnych, działacze społeczni organizacji i instytucji, chłopci, młodzież, nauczyciele i bibliotekarze, pracownicy rad narodowych i agromomowie.

Badania prowadzono w dwu grupach powiatów: w tych, które uważaliśmy tradycyjnie za rolnicze, i w powiatach znajdujących się w zasięgu oddziaływania przemysłu. W sumie objęły one kilkadziesiąt wsi. Pytania dotyczyły różnych problemów społecznych, politycznych, wychowawczych. Były wśród nich pytania o czynniki kształtujące postawę młodzieży i przyczyny opóźniające tempo zmian w poglądach chłopów, inteligencji pracującej wywodzącej się ze wsi i szeregu innych. Materiały zebrane bezpośrednio na wsi pokazały, że wieś rzeszowska nie jest już wsią z tradycyjnych o niej pojęć. Szereg powtarzających się obserwacji sygnalizuje zjawiska, które nie zawsze dostrzegaliśmy w naszej pracy partyjnej.

— Na przykład?

W. K.: Na przykład: Większość badających zgodnie podkreśla, że czynnikiem opóźniającym tempo zmian ideowych w poglądach mieszkańców wsi są: słaba aktywność placówek kultury i istniejących na wsi, że nie mamy jeszcze przeciwwagi dla nacisku państwowych tu nie najlepszych tradycji.

— To stwierdzenie pokrywa się w zupełności z opinią wielu ludzi piszących na te tematy w prasie, mówiących w radio. Potwierdzają je działacze terenowi, którzy w dobrze prowadzonej działalności kulturalnej widzą, jeśli nie uniwersalny to w każdym bądź razie najbardziej skuteczny środek

walki z zacofaniem, partykularyzmem, wstecznością.

W. K.: Ta uwaga wynikająca z badań nie jest chyba zbyt odkrywcza. Potwierdza ona słuszność postulatów domagających się rozszerzenia i wzbogacenia form pracy kulturalno oświatowej na wsi... Są jednak inne obserwacje, które, przynajmniej, były dla nas czymś odbiegającym od utartych poglądów, otóż — teoretycznie, bardziej niż doświadczalnie, zwykliśmy sądzić, że np. chłopci lub inteligenci zatrudnieni w mieście a mieszkający na wsi winni być w miejscu swego zamieszkania czynnikiem przekształcającym oblicze wsi, poziom życia, mentalność jej mieszkańców. Wśród ludzi tych jest spora liczba osób zajmujących odpowiedzialne stanowiska w przemyśle, oświacie, kulturze, aparacie rad narodowych.

W wioskach takich, jak np. Huta Komorowska w powiecie kolbuszowskim, czy szeregu innych wsi w Tarnobrzelskiem, Dębickiem, Mieleckiem — niejednokrotnie połowa zdolnych do pracy ludzi dojeżdża do miasta, gdzie pracuje w różnych zawodach. Jest to proporcjonalnie dużo, jeśli zważy się, że mimo stosunkowo szybkiego tempa rozwoju przemysłu wskaźnik zatrudnienia poza rolnictwem jest w skali wojewódzkiej znacznie niższy.

Nie chcę niczego uogólniać, jest to temat, przynajmniej u nas, szerzej jeszcze nie zbadany, wiele mógłby tu

(Dokończenie na str. 6)

O FLAG VI b Dössel b/Warburg  
Mój piąty i ostatni obóz. Zaczynał się rok 1943. Paulus dostał się do niewoli pod Stalingradem z 23 generałami niemieckimi. Wojska radzieckie rozwijają ofensywę.

W kwietniu wybuchło powstanie w getcie warszawskim. W lipcu ginie koło Gibraltaru generał Sikorski. W kraju walczą GL i AK. Terror okupanta przybrał rozmiary dotąd nie spotykane...

Obóz w Dössel mieścił się na zboczu niewielkiego wzgórza na skraju wsi o tej nazwie. Wsi nie było widać — tylko wieżę małego wiejskiego kościółka. Wieś było słychać. Szczekanie psów, beczenie owiec, ryk bydła.

Dokładnie natomiast było widać wieś z aresztu. Teren pod obóz był tak wybrany, aby wykorzystać najgorsze ziemie, nieużytki i pastwiska. Teren obozu był przeszło dwukrotnie większy niż w Lubce. Rozciągał się na północnej części wzgórza. Przez środek obozu przechodziła dość szeroka brukowana droga, prowadząca od budynku komendy do wartowni, kasyna i innych budynków po drugiej stronie, bliżej wsi położonych.

Na środku obozu był plac apelowy — miejsce zbiórek 2—3 razy dziennie. Po każdej ucieczce, lub wykryciu próby ucieczki, na placu apelowym działy się różne „cuda”. Jeńcy byli otaczani przez oddział wartowników, poszczególne kompanie od-



Zabytkowy pałac Sobieskich przy ul. Dąbrowskiego w Lublinie — siedziba Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej (p. art. „W perspektywie Politechnika Lubelska” na str. 11)

## O FLAG w Dössel (I)

WINCENTY KAWALEC

izolowane między sobą, aby nie było przejścia i rozpoczynało się sprawdzanie list obecności. Trwało to przeciętnie trzy — cztery godziny, a czasami nawet cały dzień. Normalne apele trwały około pół godziny. W górnej części obozu znajdowało się sześć baraków grupy naszej — „lubeckiej”. Baraki były drewniane, składające się z pięciu — sześciu izb, mogących pomieścić po sześć podwójnych łóżek drewnianych. Łóżka były dwupiętrowe. Na środku sali stał piecyk żelazny, na którym można było coś ugotować; służył on też jako źródło ciepła w okresach jesienno-zimowych. Wobec tego, że Niemcy nie wydawali węgla i drzewa, a piecyki były do ogrzewania, przez całą zimę specjaliści dyżurni poszukiwali opału. Czego się tam nie spalało? Były o to częste awantury. Najcięższą

awanturę tego typu przeżyłem na wiosnę 43 roku, kiedy to w jakichś niewyjaśnionych okolicznościach, na oczach wartowników, zniknął słup telefoniczny sprzed wartowni, a łączność telefoniczna mimo to została utrzymana. Zginęły wszystkie tablice ostrzegawcze, części baraków itp. Początkowo spalano w ten sposób deski z łóżek, ale później było to zakazane przez robiących podkopy. Deski z łóżek były zbyt cenne na opał, bo potrzebne były na umacnianie podkopów. Każdy barak tworzył kompanię, sala drużyny, a cała nasza grupa tworzyła 1 batalion.

Komendantem naszego batalionu był major Koszucki, który był genialny w liczeniu. Jak trzeba było, to na apelu przez kilka dni mogło nie być 2—3 jeńców, on zawsze tak liczył, i tak przekonywał oficera niemieckiego, że było stale, ile było potrzeba. W naszym batalionie był A. Rapacki, J. Zieleniewski — obecny profesor PAN, J. Wasilkowski — obecny profesor Sądzu Najwyższego, J. Drewnowski — obecny profesor, wybitny ekonomista itp.

Naprzeciwko nas, po drugiej stronie placu apelowego było 4—5 baraków zamieszkałych przez jeńców głównie z Colditz, Murnau i z innych obozów. Mieszkało tam najwięcej oficerów rezerwy, głównie naukowców, którzy przodowali w pracy

(Dokończenie na str. 5)



# Punkt wyjścia rozwoju kultury w 1964 roku

Poniżej zamieszczamy fragment referatu wiceprzewodniczącego PWRN w Lublinie Jana Siewierskiego na grudniowej sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej, poświęconej sytuacji na odcinku kultury.

Fakt, że Lublin jest siedzibą pięciu wyższych uczelni, w których pracuje liczna kadra profesorska, w których studiują przeszło 8 tysięcy studentów, że do szkół powszechnych i średnich w województwie uczęszcza około 370 tysięcy młodzieży, a sprawami kształcenia i wychowania kieruje armia 14 tysięcy nauczycieli, nie może pozostać bez wpływu na kształtowanie i rozwój kultury w naszym województwie.

Procesom przeobrażeń kulturalnych Lubelszczyzny sprzyja troska partii i rządu o jakość wykształcenia i nieustanny wzrost poziomu szkolnictwa. Uchwały VIII Plenum KC PZPR i przyjęta przez Sejm ustawa o reformie systemu szkolnego, uchwały XIII Plenum KC PZPR poświęcone sprawom ideologicznym i ich realizacji, niewątpliwie stwarzają lepsze warunki i pozwolą na pogłębienie działalności kulturalno-oświatowej.

Ostatnie lata przyniosły wzrost czytelnictwa, sieci bibliotek publicznych, czytelnictwa prasy i książki oraz korzystne zmiany w ich działalności i warunkach pracy na wsi. Obecnie posiadamy 460 bibliotek powszechnych, 65 filii oraz 96 czytelnictwa prasy i książki. Liczba placówek bibliotecznych wzrosła w porównaniu z rokiem 1960 o 95. We wsiach odległych od bibliotek gromadzkich istnieją prócz tego 1773 punkty biblioteczne, za których pośrednictwem mogą czytelnicy korzystać z bibliotek stałych. Liczba czytelników wzrosła o blisko 100 tysięcy. Wzrosła również aktywność i procent czytelników z 9,9 na 15, przy przeciętnej krajowej 13,8 proc. Największą liczbę czytelników zanotowano w powiecie lubelskim 21, w powiecie lubartowskim 20, w powiecie bełżyckim 18, najniższą w powiecie bychawskim 11, bilgorajskim 11 i tomaszowskim 10.

Mimo tych osiągnięć trzeba powiedzieć, że zainteresowanie czytelnictwem mieszkańców wsi jest jeszcze bardzo skromne. Winę za taki stan rzeczy ponoszą pracownicy wydziałów kultury rad narodowych, którzy w stopniu niedostatecznym interesują się rozwojem czytelnictwa i kultury na wsi. Jeśli porównamy wydatki na zakup książek na jednego mieszkańca ze wspomnianego już powiatu tomaszowskiego, wynoszące 13 zł rocznie, z wydatkami na wódkę, wynoszącymi 570 zł, to widzimy, że nie brak środków, który wszędzie i na każdym kroku przytacza się jako główną przeszkodę w rozwoju kultury, lecz brak świadomości i zrozumienia dla tych spraw wśród społeczeństwa utrudnia szerzenie oświaty i kultury na wsi.

Na terenie naszego województwa czynne są 32 domy kultury, 95 klubów w tym 37 wiejskich klubów-kawalarni, oraz 13 klubów fabrycznych i zakładowych, 529 świetlic gromadzkich i miejskich oraz 175 świetlic związkowych, w tym 56 w państwowych gospodarstwach rolnych. 333 świetlice powstały w ciągu ostatnich trzech lat. W porównaniu z r. 1960 jest to postęp znaczny, choć wciąż jeszcze niedostateczny, skoro jedna świetlica przypada u nas na 4 wsi.

Główną przeszkodą w organizowaniu dalszych świetlic jest brak lokali. Podejmowane są próby wykorzystania w tym celu lokali szkolnych, wykorzystanie szkoły wiejskiej w celu oddziaływania kulturalnego na środowisko jest sprawą pierwszorzędnej wagi. Do tej pory zorganizowano na terenie 12 powiatów w ramach tzw. akcji „Szkoła ośrodkiem życia kulturalnego wsi” — zaledwie 340 ośrodków k.o. w lokalach szkolnych. W stosunku do istniejących blisko 2 tysięcy szkół wiejskich jest to osiągnięcie stosunkowo niewielkie, mimo że Lubelszczyzna pod tym względem zajmuje jedno z pierwszych miejsc w kraju. Poza tym w województwie działają 102 społeczne komitety budowy domów kultury i świetlic. Największy rozmach tej inicjatywy obserwujemy w powiatach: chełmskim, krasnostawskim, opolskim, radzyńskim, tomaszowskim i włodawskim. Np. w 1963 r. komitety czynów społecznych w zakresie kultury zgromadziły 20.942 tys. zł (w kwocie tej mieszczą się również dotacje rad narodowych wynoszące 4.621 tys. zł). Wynikiem działalności tych komitetów było od-

danie do użytku w 1962 roku — 15 obiektów kulturalnych oraz rozpoczęcie budowy dalszych 86.

Podjęto duży wysiłek organizacyjny i finansowy w celu zapewnienia placówkom kulturalno-oświatowym niezbędnego sprzętu w postaci telewizorów, radioodbiorników, adapterów, projektorów filmowych, instrumentów muzycznych, strojów ludowych itp. Z budżetu centralnego i wojewódzkiego przeznaczono na ten cel łącznie ponad 700 tys. zł. W porównaniu z latami ubiegłymi w zakresie wyposażenia placówek w podstawowy sprzęt świetlicowy nastąpiła znaczna poprawa, jednakże występują jeszcze braki urządzeń klubowych, wyposażenia czytelni w prasę i pomoce oświatowe.

Na rozwój kultury Lubelszczyzny w ogromnej mierze oddziaływa kino, radio, i telewizja. Obecnie działają na terenie województwa 293 kina. W roku ubiegłym obejrzało filmy 12 mln widzów. Najbardziej rozwiniętą siecią kin wiejskich dysponują powiaty: hrubieszowski i tomaszowski, najslabszą zaś ma powiaty: bychawski i lukowski. Przypada tu na 1000 mieszkańców 11 miejsc, w porównaniu z powiatami Polski zachodniej, gdzie ilość miejsc wynosi 20—30, liczba ta jest zbyt skromna w naszym województwie.

Telewizja obejmuje swym zasięgiem jeszcze zbyt mały procent wsi województwa lubelskiego. Ilość zainstalowanych aparatów telewizyjnych w placówkach k. o. naszego województwa nie przekracza 250, z tego na wieś przypada zaledwie 150, w tym 35 w powiecie lubartowskim, 31 w powiecie lukowskim, 42 w powiecie krasnostawskim, 2 w powiecie tomaszowskim i 6 w powiecie hrubieszowskim. Poważniejszy rozwój telewizji i jej oddziaływanie na wieś zależy w znacznej mierze od wzrostu aktywności społecznej samej ludności. Jeżeli przyjmemy, że na wyposażenie w

telewizory wszystkich placówek k. o. potrzeba około 6 mln., to społeczeństwo winno wpłacić na ten cel około 3 mln zł. Suma ta jest dość znaczna, i trzeba dużego wysiłku ze strony aparatu kulturalnego rad narodowych, aby zrealizować hasło „W każdej wsi telewizor”.

Sytuacja kadrowa w dziedzinie kultury jest w dalszym ciągu niezadowalająca. Prezydium rad narodowych obsadzają placówki k. o. osobami bez wymaganych kwalifikacji. Ogromna większość świetlic wiejskich: ZMW, OSP, LK, PGR, spółdzielni produkcyjnych — pracuje bez etatowych kierowników i instruktorów. Tylko w niewielu świetlicach zatrudnieni są stali pracownicy w pełnym wymiarze godzin, w większości zaś działają społecznie miejscowi nauczyciele, bądź bardziej wyrobieni działacze ZMW.

Nie zapominając o brakach, dostrzegamy jednak niemałe osiągnięcia. Przy placówkach k. o. na wsi działa ponad 1000 zespołów oświatowych i artystycznych skupiających 14.850 członków. Trzy lata temu w tymże środowisku działało zaledwie 241 zespołów artystycznych i oświatowych.

Jedną z nowych form organizacji życia kulturalno-oświatowego jest ruch klubowy. Obecnie działa na terenie województwa lubelskiego, jak już powiedziałem, 95 klubów. Głównym organizatorem tej niezwykle pożytecznej formy pracy jest Związek Młodzieży Wiejskiej. W naszych lubelskich warunkach, ruch klubowy zasługuje na szczególną uwagę i poparcie, ponieważ jest on wyrazem aktywności środowisk młodzieżowych oraz inteligencji, która dotychczas nie uczestniczyła aktywnie w życiu k. o.

Pokażnym dorobkiem w krzewieniu kultury i oświaty wykazała się może Towarzystwo Wiedzy Powszechnej. Prowadzi ono obecnie 244 uniwersytety powszechne (w tym 53 uni-

wersytety w samym tylko pow. lubartowskim, tj. tyle, co w całym województwie białostockim), 516 stałych punktów odczytowych. Wygłoszona wiele odczytów o różnej tematyce naukowej, wyświetlano filmy popularno-naukowe, akcją tą objęto ponad 100 tys. osób. Obok TWP najbardziej aktywnym na tym polu jest wspomniany już Związek Młodzieży Wiejskiej. Organizacja ta prowadzi dużą ilość własnych placówek k. o. na wsi, organizuje kursy oświatowe, uniwersytety powszechne, kółka zainteresowań technicznych, szkoły zdrowia, kursy wiedzy praktycznej itp. ZMW staje się już dzisiaj w terenie wiejskim wielką aktywną siłą, staje się kierownikiem i inicjatorem wszelkich poważniejszych poczynań w pracy k. o. na wsi. Poważną rolę odgrywa też OSP i Związek Nauczycielstwa Polskiego.

Ale znówu mimo tych osiągnięć trzeba z naciskiem podkreślić, że zagadnienia oświaty i kultury nie zawsze spotykają się z należytym zrozumieniem rad narodowych. Nie zawsze środki przeznaczone na kulturę są wykorzystywane przez powiatowe i gromadzkie rady narodowe we właściwy sposób. Np. powiat tomaszowski wykonał w 1962 r. budżet w tym dziale zaledwie w 79 proc. przy wykonaniu średniej wojewódzkiej 93 proc. Wiele można by również powiedzieć o nierównomierności rozwoju społecznej działalności k. o. Np. sąsiadujące ze sobą powiaty lubartowski i parczewski, przy tych samych warunkach ekonomicznych, reprezentują dwa krańcowo odmienne obrazy rozwoju życia kulturalnego.

Jest rzeczą jasną, że nie mogą nas w pełni zadowolić dotychczasowe osiągnięcia. Cokolwiek byśmy mówili o pracy i poszczególnych osiągnięciach kulturalnych, to generalnie rzecz biorąc, osiągnięcia te ciągle jeszcze są niewystarczające. Szczerze mówiąc, trudno jest przytoczyć przykład powiatu, w którym jest dostateczna sieć bibliotek, domów kultury, klubów, i świetlic, kin, muzeów, placówek oświatowo-wychowawczych, dostateczna kadra przygotowana do tych zadań, jak również środowiska twórcze oddziaływające dodatnio na rozwój kultury na wsi. Jeszcze trudniej przytoczyć przykład powiatu, w którym jest duża proporcjonalnie do liczby mieszkańców liczba czytelników, w którym dobra książka, gazeta, słuchanie koncertów, oglądanie dobrych filmów, spektakli teatralnych, wystaw — stały się powszechną codzienną potrzebą ludności. Z tego obrazu kulturalnego naszego województwa muszą sobie całkowicie zdawać sprawę wszystkie instytucje państwowe, organizacje związkowe, społeczno-kulturalne, młodzieżowe oraz środowiska twórcze, które winny dostarczyć wsi odpowiedniej literatury i sztuki.

Na wieś naszą zaczyna przynikać szmira, tandeta, będąca wytworem nieudolnie skopiowanych wzorów, tzw. masowej kultury Zachodu. Obserwujemy często, jak licze zespoły estradowe wysilają się na wykonanie piosenek w obcym nie znanym im języku, kalecząc jego wymowę, malpując gesty, i ruchy podglądane na ekranach kin lub telewizji.

Utarli się wśród pracowników wydziałów kultury i wśród wielu działaczy kulturalnych poglądy, że wystarczy mieć środki, odpowiednie pomieszczenia, domy kultury, świetlice, kluby, a kultura sama popłynie do mas, rozkrzewi się wśród nich i wyda owoce. Na skutek tej postawy obserwujemy takie zjawiska, o jakich przed chwilą mówiłem. Do mas musi dążyć kultura zdrowa, rozszerzająca horyzonty myśli człowieka, kształtująca jego oblicze moralne i poczucie piękna, odpowiadająca naszej socjalistycznej ideologii.

Ale do tego potrzeba czegoś więcej, aniżeli chęci lub świadomości działaczy kulturalnych. Potrzeba nam większego niż dotychczas zaangażowania się naszych środowisk twórczych i naukowych w tworzeniu i upowszechnianiu literatury i sztuki przedstawiających pozytywne wzory życia.

Jak wynika z przedstawionej sytuacji mamy jeszcze wiele do zrobienia na odcinku kultury. Dyskusja niewątpliwie rozszerzy spojrzenie na tę sytuację i ukaże drogi do zrealizowania naszych planów i zamiarów, jak również wytycznych i zaleceń władz centralnych mających na względzie podniesienie na wyższy poziom oświaty i kultury w naszym województwie.

## NIE SAMYM GROSZEM

KRYSZTOF WÓJTOWICZ

W ROKU bieżącym na Białostocczyźnie wiele mówi się i czyni w zakresie pobudzania obywatelskiej inicjatywy społecznej. Rok Ziemi Białostockiej zobowiązuje. Budowa dróg, melioracje, sadzenie drzew. Najpełniejsze wykorzystanie rezerwy energii społecznej i wszelkiego rodzaju istniejących w tym względzie możliwości staje się palącym nakazem, szczególnie w zakresie zaspokajania potrzeb kulturalnych.

A są one niemałe — mimo nieźle na ogół rozwiniętego tutaj czytelnictwa. Krążąca ostatnio po województwie anegdota oparta jest, jak twierdzą opowiadający, na fakcie autentycznym. W jednym z powiatów do czynnika mającego coś do powiedzenia w sprawach kultury zwróciła się kierowniczka miejscowego amatorskiego zespołu teatralnego z propozycją scenicznego wystawienia „Wiernej rzeki” Żeromskiego. „Czynnik” przez chwilę zastanawiał się.

— To coś o powstaniu styczniowym... Żeromski... Żeromski... aha, tłumaczyli go Słonimski i Przyboś.

— Ależ skąd! — zaprotestowała kierowniczka.

— Tak, tak, macie rację. Nie Słonimski, ale Kubiak, Kubiak.

Ten smutny żart, zdaje się potwierdzać prawdę, że nie wszystkie potrzeby i postulaty w dziedzinie kultury można zaspokajać li tylko w drodze ciągłego zwiększania państwowego budżetu na kulturę.

W województwie białostockim nie brak inicjatywy społecznej w dziedzinie kultury. Jeśli jednak nie przynosi ona nieraz oczekiwanych efektów, dzieje się to przeważnie z powodu trudności wcale nie obiektywnych. Najważniejsza z nich to nieumiejętność wykorzystania społecznych rezerw w różnej postaci, jak: kadry, pieniądze, lokale, czy sprzęt, a przede wszystkim brak koordynacji sił, środków i zamiarów.

Na Białostocczyźnie jedną z wielu przeszkód w szerokim upowszechnieniu sztuki i kultury jest brak odpowiednich sal widowiskowych. Co prawda jeden z działaczy oświaty, że sal tych jest dosyć, natomiast za mało jest dobrych widowisk w pełnym tego słowa znaczeniu. Może częściowo miał i rację, ale w każdym razie odpo-

wiednie pomieszczenie to rzecz równie ważna. W powiatowej Góldapi od dłuższego czasu odczuwano brak sali widowiskowej. Był lokal, ale zupełnie nie nadający się do tego użytku. Koordynacja poczyniła wielu instancji i instytucji wokół tej sprawy jest typowym przykładem, jak wiele można zdziałać koordynując odpowiednio poczynania w zakresie kultury. Na posiedzeniu powiatowej komisji koordynacyjnej postanowiono skupić wspólne środki na przeróbkę sali widowiskowej przy Powiatowym Domu Kultury. Kosztem 100 tysięcy złotych wyremontowano i wyposażono w niezbędny sprzęt nieczynną dotąd salę, która dzisiaj — Góldapi przynosi nie tylko chlubę, ale i pożytek.

Ale nie wszędzie dzieje się tak jak w Góldapi.

W Łapach pod Białymstokiem ton życia miasta i powiatu nadają Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego. Wydaje się jednak, że w swych poczynaniach kulturalnych zbyt mało bierą one pod uwagę całe środowisko. Kolejarze nie kwania się z lożem pieniędzy na wspólne cele. Przykład tak poważnego partnera dzisiaj i na pomniejszych. PSS, Mleczarnia, spółdzielnie pracy — każda z tych instytucji swoje skromne środki finansowe na kulturę wydatkuje we własnym zakresie. Słowem — zamiast skupienia — dekoncentracja. Działacze z Prezydium Powiatowej Rady Narodowej oświadczyli, że niektóre pryncypy finansowe zabraniają manipulacji funduszami przeznaczonymi na wydatki kulturalne. W takim razie, w jaki sposób na koncie Komisji Koordynacyjnej w powiecie Wysokie Mazowieckie być pod koniec 1962 roku około 40 tysięcy złotych? Czyżby w każdym powiecie obowiązywały dla tych samych instytucji odrębne przepisy?

Referat Ministerstwa Kultury wygłoszony na marcowej krajowej naradzie w Warszawie między innymi wskazywał na to, że Związek Młodzieży Socjalistycznej, mający ogromne pole do działania choćby w zakresie rozwoju czytelnictwa młodocianych, jest w powiatach najczęściej pozostawiany samemu sobie. Istotnie to praw-

(Dokończenie na str. 12)



# SPOTKANIE Z GUSTAWEM MORCINKIEM

ROMUALD KARAS

**B**YE, chyba rok 1947. Na lekcji polskiego przerażający „Lyska z pokładu Idy”. Jeśli większość czytanek wydawała się nam, uczniom, złem koniecznym, czymś co w dodatku należało opowiedzieć lub streścić, to opowiadanie Morcinka poruszyło nas bardzo żywo. Pamiętam, że największy łobuz w klasie, Tadek K., na którego nie działały żadne sentymenty, pochłapywał w czasie czytania „Lyska”, potem zaś zapytał nieoczekiwane wychowawczynię:

— Proszę pani, to niemożliwe, żeby taki Lyszek mógł umrzeć?

Niebawem stała się rzecz niewiarygodna: — Dzieci, zobaczcie pana Gustawa Morcinka. Będzie miał w Puławach spotkanie autorskie. Pojedziemy całą klasą — powiedziała nam pani.

Wielka prywatna landara, pełniąc funkcję ekspozytury PKS, miała tego dnia swą złą godzinę. Charczała, dymila, ale z miejsca nie mogła ruszyć. Budziła w nas niepokój, że nie pojedziemy do Puław. Wkrótce potwierdził to jej właściciel zwracając nam pieniądze za bilety. Pozostawała ostatnia szansa — zatrzymać przejeżdżające samochody. Niestety, przez kilka godzin nie przystanął żaden. Zrezygnowani, zmarznięci na wiosennym wietrze mocno tchnącym zimą, tuż przed rozejściem się do domów, ujrzeliśmy samochód-ambulans PCK. Zatrzymać, nie zatrzymać? — wahaliśmy się. Rękę podniosła pani. Przystanął. Wszyscy wpełzali się do środka.

Rozmowę z naszą wychowawczynią rozpoczął jakiś starszy, szpakowaty pan.

— Dzieci, jedziemy z Gustawem Morcinkiem — oznajmiła nam pani.

Jeden przez drugiego spoglądaliśmy na pisarza. Ten zaś gawędził z nami. Pamiętam, że przed Puławami, powiedział najwidoczniej żartem:



— Mógłśmy Krowią Dole.

— Końskowole — wyrwało mi się.

— O, świetnie znasz okolice — pochwalił mnie pisarz i a propos Końskowoli przytoczył z „Potopu” historyjkę o sprzedawanym w niej gorzkim piwie.

W kinie „Nysa” w Puławach było bardzo tłoczno. Morcinek stał na podwyższeniu nieopodal ekranu. Nasze miejsca były w tyle sali. Wyciągnęliśmy słuch, aby nie uronić z tego, co mówił pisarz. Szczególnie podobała nam się piękna legenda opowiadająca o tym, jak to Judasz chciał oszukać Chrystusa.

Powrót z Puław nie ułożył się pomyślnie: nie nie jechało w naszą stronę. Szliśmy pieszo. Choć kilkanaście kilometrów, szmat drogi, nikt nie narzekał. Nikt nie myślał o zmęczeniu: byliśmy szczęśliwi. Po raz pierwszy w życiu widzieliśmy pisarza, niektórzy nawet z nim rozmawiali. Spośród szczęśliwców ja urosłem do rozmiarów niebywałego mądca. Poprawielem bowiem „błąd” wielkiego pisarza.

Moje następne spotkanie z Gustawem Morcinkiem było odległe w czasie od pierwszego o lat kilkanaście. W lipcu 1960 roku wybrałem się na włoczęgę po Polsce, aby w ten sposób spędzić urlop. Po „pokonaniu” ponad tysiąca kilometrów dotarłem na Śląsk Cieszyński, do Skoczowa, gdzie zamieszkiwał pisarz. W drzwiach piętrowego drewnianego budynku, usytuowanego w pięknym ogródku, pojawił się momentalnie Miś, ulubiony piesek Gustawa Morcinka, i powitał mnie przyjaznym szczekaniem. Niebawem zasiadłem naprzeciw siwego, wysokiego mężczyzny. Po równałem zachowany obraz pisarza ze swoich lat chłopięcych. Utrwaliłem go zbyt miękko, typowo dla plastycznego widzenia dziecka. Uderzyła mnie teraz twarz bardzo męska, wysokie wspaniałe czoło porane bruzdami zmarszczek. Z postaci biła jakaś siła woli, stanowczość. Już jednak kilka pierwszych zdań orientowało, że wrodzoną cechą charakteru pisarza jest pogoda ducha.

— U nas, w Cieszyńsku, mówi się po prostu: chce mi się jeść, albo pić. Słucham pana?

— Jestem bezpośrednio po obiedzie...

— To wobec tego, co pan wybiera: kawę czy herbatę?

— Kawę.

Za moment pani Wala, bardzo miła kuzynka pisarza, podawała nam smaczne strucle i ciastka własnego wyrobu oraz aromatyczną kawę.

— Jak pan został pisarzem? — rozpocząłem wywiad tym bardzo merytorycznym pytaniem.

— To złożona historia. Najpierw czytałem wszystko, co mi trafiło do ręki lub pod oczy. A więc afisze, brzydkie słowa i sentencje, wypisywane kredą na

(Dokończenie na str. 4)

## Listy o poezji

### Szczudła zamiast skrzydeł

ANNA KAMIENSKA

„To plekło na miarę moją...”

J. B. Ożóg

**N**URTY katastroficzne przebiegają przez naszą poezję ostatnich dziesiątków lat jak drgania sejsmiczne. Poezja nasza jest wyjątkowo uczulona na to, co można by nazwać zapowiedzią katastrofy. Owszem, można to składać na karb nadwrażliwości ludzi pracujących w słowie. Warto jednak zwrócić uwagę na moralny charakter tzw. naszego katastrofizmu poetyckiego.

Chodzi w nim już nie tylko o samą zagładę i lęk przed kataklizmem wojny podzielanym przecież przez największych myślicieli i intelektualistów współczesnego świata, ale — o wartości humanistyczne, ludzkie, znajdujące się w stanie zagrożenia. Zauważono pozytywny skądinąd objaw odpływu młodzieży studiującej od tradycji i na nas popularnej humanistyki do politechniki i wszelkich zawodów technicznych. Zanotowano ostatnio objaw kurczenia się środowiska młodych piszących. Tak np. korespondencyjne kluby młodych pisarzy otrzymują coraz mniej listów z terenu z próbami pisarskimi. I nie jest to zmniejszenie o dziesiątki listów dziennie, ale o setki. Wyraża to na każdym polu dehumanizacja współczesnego świata i to na przykład optymistycznym przewidywaniem tych, którzy sądzą, że skrócony dzień pracy wzmocni zainteresowania i ambicje humanistyczne nowoczesnego człowieka. W dalszej perspektywie są to zmiany niewątpliwie o charakterze moralnym, zmiany dotyczące istoty tego, co nazywamy człowieczeństwem.

Te problemy moralne bardzo często znajdują wyraz w poezji poetów wszystkich pokoleń. Sądzę, że za mało uważnie przysłuchujemy się do tychczas tym głosem moralnego niepokoju. Od tej strony, od strony postawy moralnej poezji, od strony treści tego niepokoju moralnego — nikt prawie o poezji współczesnej nie mówi. Tymczasem efektywny krytyk zarzuca nihilizm Różewiczowi, poecie, który w najbardziej może wstrząsający sposób daje wyraz problemom moralnym naszych czasów. Jest to chyba

objaw odejścia od problematyki moralnej krytyków i także niektórych poetów. Moralizm poezji Różewicza razi, jest obsesyjny. Niczym innym tylko moralną obsesją są nieustanne próby definicji człowieka aż do tej gorzkiej traktującej człowieka jako rurę przewodu pokarmowego.

Na pytanie, co myśli o Różewiczu, młody poeta odpowiedział: — Nic nie myślę. Jest mi całkowicie obojętny. — W tej odpowiedzi chodziło przecież nie tylko o poetykę, ale całego Różewicza, poetę-moralistę, poetę osądzącego epokę, jakkolwiek skromny, poczuwający się do uczestnictwa w jej grzechach byłby ten osąd.

Może więc niestudnie używa się terminu katastrofizm w odniesieniu do pewnego typu poezji. Ścisłej byłoby mówić o moralizmie, o poezji niepokoju moralnego, o poezji jako próbie ratowania pojęcia humanizmu. Jeśli od tej strony spojrzymy na naszą poezję — wyda się ona głosem szczególnie poważnym i pełnym godności. Tu już jest nie tylko postawa wyrażona jeszcze przed wojną w słowach Słonimskiego:

„Proszę bardzo pamiętać, że ja byłem przeciw” —

ale postawa głębszego współuczestnictwa, czy też, jak się dziś mówi, zaangażowania. Epoka atomowa z nasilającą się lub słabnącą, ale nieustanną zimną wojną, z wznoszącymi się falami rasizmu, którego skutki Europa zna aż nazbyt dobrze, epoka ułatwionej, przeżutej i zwulgaryzowanej na użytek mas kultury, epoka nie pozbawiona piękna i patosu, ale jednocześnie tak bardzo trudna i pełna sprzeczności — oczekuje poezji na swoją miarę.

Poza tym nie dość uważnie wysłuchiwany głosem poezji niepokoju moralnego powstaje inny typ poezji — poezji jakby trawiącej samą siebie, wtórnej w samym założeniu. Pisałam o ostatnim liście o sprawach nowatorstwa i oryginalności w poezji. Stwierdziłam, że nowatorstwo za wszelką cenę, absolutne nowatorstwo jest fetyszem poezji XX wieku, nie jakąś cechą stałą i wyróżniającą dla tej dziedziny sztuki. Stwierdziłam przy całym szacunku dla hasła nowości i poszukiwań w poezji, że pełna oryginalność poezji nie jest możliwa. Odczuwanie współzależności i powiązań pewnych motywów kultury i rytmów — jest również jednym z ważnych czynników estetycznych i emocjonalnych przy odbiorze literatury.

Mimo to z niepokojem obserwuję w naszej poezji zjawisko, które nazwałabym katastrofizmem kulturowym. Myślę tu o poezji w zamierzeniu wtórnej, eliminującej w zasadzie ideę nowatorstwa zwróconego w przeszłość, ku formom jeszcze nie znanym i nie eksploatowanym. Można nie uznać nieustającego i absolutnego

nowatorstwa za wszelką cenę, ale nie można zakładać sobie z góry wtórności i bezradności intelektualnej. Myślę o poezji jak gdyby przetwarzającej siebie, karmiącej się nie żywymi obrazami życia, nie realnymi wydarzeniami losów ludzkich — ale perypetiami kultury i literatury. Taka poezja powstawała zwykle w okresach schyłkowych literatury i nosi rzeczywiście wszystkie cechy schyłkowości. Nie jest to typ tzw. poezia docta. Nasze średnie pokolenie, wychowane jeszcze na łacinie i grece, kocha się w poetyckich traktatach i rozprawach i chętnie lirycę przydaje pozory naukowości i ścisłości. Ale traktaty nawet liryczne, dobre są wówczas, gdy wynikają z własnych przemyśleń, jeśli pod pozornie oschlą materią pulsują żywa krew, jeśli coś się dzieje, jeśli zmysłowy, żywy obraz świata przebliskuje poprzez formuły definicji.

Norwid — nasz patron poezji myślącej, intelektualnej, stał się dziś modny i naśladowany, ale często przejmując się tylko jego ołowianą Literę. Poeci, którzy najczęściej powołują się na Norwida, cytując jego frazy w swoich tekstach i przybierając jego ton — czasem nawet kopiując dziwactwa składni Norwida — nie próbują się uczyć u Norwida tragicznego, cierpiącego, czującego. W wielkiej ambicji osądu nad światem na miarę Norwida — zarzucają małą ambicję wypowiedzenia siebie, swojego świata, swoich słabości, swojego nieba i „piekła na swoją miarę”. A bez tej „mniejszej” ambicji — ta wielka nie ma właściwie sensu i uzasadnienia.

W gruncie rzeczy ten nowy chłodny literacki parnasizm i estetyzm, zadufany w zapleczu tradycji i kultury, niepokoi swoją beznamiętnością i właśnie brakiem niepokoju. Pełz imion wymawia się tu nadaremno. Oprócz Norwida dziesiątki nazwisk często przeciwstawianych poetów angielskich, amerykańskich i francuskich zdobyły tytuły i motta iderszy, jak gdyby wiersze te wymagały tych sztucznych protez, tych szczudłał cudzej myśli, wielkiego nazwiska.

Szczudła — zamiast skrzydeł — oto metaforyczna formuła tego rodzaju sytuacji w poezji. Obciąża ją wtórność już nie zależności treściowych czy formalnych, bo ostatecznie każda próba przyswojenia poprzez swoją osobowość innej poetyki — może być ciekawa i pożyteczna. Obecnie nazwiska postawione pod tytułami wierszy są jak tyczki, wokół których owija się blada, wąta i bezsilna lodyga wiersza. To coś więcej niż epigoństwo, to bezsilność i jałowość umysłowa.

Przejawy tej poezji ukształtowały się już na tyle, że można o niej mówić jako o zjawisku. Taka poezja pastiszowa, parodystyczna — pseudoterudycyjna odznacza się gadalitudo-

cią, erupcją magmy słownej, jakby pośpiechem, bo może to „dwie minuty przed końcem świata”. Czerpiąc z dorobku kulturalnego często mimowolnie ta poezja szydzi z niego i parodiuje go. Ile w tym snobizmu — to osobne już na pół psychologiczne zagadnienie.

Skłonność do baroku, makabry, przedrzeźniania liryzmu to bunt zarówno przeciw post-romantycznej poezji refleksyjnej jak i przeciw tzw. awangardzie i jej stęchłemu już nowatorstwu.

A może jest to szamotanie się w poszukiwaniu nowego kształtu poezji? Gdyby tylko poezja ta próbowała zobaczyć po swojemu, ale z obaczyć świat, w którym żyjemy, gdyby miała jakieś rysy prawdy wewnętrznej, obserwacji, autentyczności przeżycia, gdyby nie była tak bardzo wykoncypowana, zapatrzona w krajobraz kultury w ogóle.

Ala może to właśnie nazywa się dziś wychodzeniem z opłotków?

## Widok z okna

HELENA PLATTA

Nabiegł nocą dźwięk  
w gwiazdę  
na drabiny szczyte

pakt  
układem cegieł niósł  
ostro nakreślony wyciąg.  
Wejść i bram  
wartownik chmurny  
koźlą twarzą pod wieżycą  
tyskał

pyskiem  
tu i tam  
w ostro nakreślony wyciąg.  
Środkiem  
szczekot maszyn grał  
pneumatycznych młotów białem  
nim w dziwiąły włączył bieg  
nowy motor — sycił.

Dzikie, jablonkowe pnle  
nad zliniałą trawą — parasole  
dzień

w tym punkcie dźwiękiem śmigłał  
tańcząc carmaniole

w dole  
chwasty się kłębiły  
tuż pod ścianą w pocie czoła  
i robotnik jeden spał  
pod skrzydłami archanioła.

Archaleczna  
bryła grudy  
wyrzliła  
kształty celne  
żeby z dymu, z ognia  
tchnąć  
ślódny i niedzielny.



# W dziesiątą rocznicę odejścia Poety

BYŁ styczeń 1920 roku. Był numer pierwszy „Skamandra” a w nim „grał piegowaty mały fletista dla pani w czwartym rzędzie”. Tak mi się objawiał Tuwim po raz pierwszy. Uderzył mnie tu powtarzający się później nieraz u poety motyw miłości niepozornego małego człowieczka do niedościgłej dla niego kobiety. Tak samo później „Piotr Plaksin grał na klaracie”. Tak samo fryzjer o „biednych krzywych nogach” marzył o ukochanej i w teatrze z wysokiej galerii śpiewał bezsłowny hymn do „wykwitłej z światła reflektora” artystki — i „tak płakał — tak kochał — i tak w krzesła runął”.

A potem tenże rok 1920 i dwa pierwsze zbiorki Tuwima, a wraz z nimi tak trafna dla mnie wówczas definicja precyzyjnie: „skok barbarzyńcy, który poczuł Boga” i oszalałające dla wielbiciela i wyznawcy Staffa odkrycie, że „tam gdzie jest księżyc, jest i aeroplan”, że nie ma tematów ani słów poetycznych, że wszystko może być przedmiotem poezji. Ze nawet o sobie samym, i to z imienia i nazwiska, bez obawy narażenia się na śmieszność i posądzenie o megalomanię można tworzyć „symfonię” — o sobie „Młodym”, co „się rusza i posuwa się mądrze, genialnie”. Ze poezja tkwi zarówno w rwaniu czereśni, jak i w pustym domu oddanym na pastwę wiatru, i nawet w „sprawie dwojga tworzących ciał”, a szczęście — w rannym czy wieczornym spacerze po ulicy i w tym, że „krew jest czerwona”.

A miłość? To Tuwim mi odsonił, że dla oddania siły uczucia wolno poecie kłać, a nawet użyć uwłaczającego czi kobiecie wyzwiska, od którego — co za odkrywczy paradoks! — jeszcze bardziej podkreśli się miłość i tęsknotę. Ze można pisać o dwóch rywalach i ich pierwotnej miłości, co każe im walczyć „na noże” o ukochaną wspólnie k-bietę, która dla nich, żadnych krwi i mordy, pozostanie „lilijna, cicha, biała”. Lilijna — jakżeż podobał mi się ten w paru wierszach użyty „neologizm”, będący w gruncie rzeczy — rusycyzmem...

Byłem pijany jak tuwimowy Sokrates tą zmysłową, życiochwalczą poezją, wciąż wracałem do tych upajających wierszy, czytałem je po stokroć i przyswajałem sobie na pamięć. Czulem, że nie mogę już pisać jak dawniej i świadomie lub podświadomie ulegałem wpływowi ulubionego poety. Z niecierpliwością czekałem na każdy nowy zbiorek Tuwima, tak wielostronnego, kameleonowego w nastroju i tematyce.

Bo Tuwim nie tylko wielbił piękno i radość życia, ale już w pierwszych książkach odsłaniał nędzę, cierpienie, krzywdę i niesprawiedliwość. I w tym wypadku także wprowadzał coś nowego, czego przed nim w poezji naszej nie było — sytuacje, w których tę odwrotną stronę życia przedstawiał. Ludzie „zdyższani”, biesiadający do najbliższego doktora, „czekający w aptekach”, „wygwizdani w teatrze”, nawet „spóźnieni na pociąg” — tak czy inaczej również cierpią, lecz żaden ze znanych mi poetów jeszcze o tym nie mówił. A to spostrzeżenie na pogrzebie: „I ksiądz szedł zamasyście, jak gdyby zwykłą szedł drogą”, i ten kontrast między jego obojętnością i brakiem orszaku a rozpaczą tych „nie wiadomo gdzie w dali”. Ze obdarci i bezdomni boleśnie odczuwają okrucieństwo zimy, o tym się często pisało, ale że oprócz „Mrozu nędzarzy” istnieje i „Skwar nędzarzy”, dostrzegł dopiero Tuwim: „Blask szczytów z suchych nędzarzy. Strych duszny trzeszczy nad głową, pali się szorstki dach. Tynk sklerotycznych murów pęka, wapiennie się praży, Kruszy się i opada na żar okiennych blach”. I ulga świąteczna, jakżeż niewymyślna namiastka: „A my dopiero w niedziele za miasto wlec się będziemy. Koślawi, starzy, biedni, przez piachy, w pocie, w spiece, Aż kilka drzew znajdziemy, nad jakimś brzegem zajdziemy, Siądziemy, odechniemy przy zielonawej rzece”.

Współczując nieszczęściu i krzywdzie, poeta nienawidzi jej sprawców: „możnych i tyranów”, mordców, co „krzyż mają na pierś i brauning w kieszeni”, „królów z panami brzuchatymi”, bankierów i fabrykantów, co judząc do wojny, na której będą robić interesy, pchają karabin do garści „prostego człowieka”, faszystów i rasistów, a wreszcie „strasznych mieszczan” z ich płaskością i tępotą. Ale przed kataklizmem ostatniej wojny Tuwim walczył z nimi tylko „kulą z sześciostozalowej błyszczącej piosenki” i trzeba było dopiero okropności lat okupacyjnych, które zresztą poeta szczęśliwie dla swego życia i poezji przeżył z dala od ojczyzny na drugiej półkuli, aby tam zakwitły jego „Polskie kwiaty” wraz z poetycką deklaracją praw człowieka widzącego w przyszłej Polsce „inną drogę do wolności”: „A kiedy lud na nogi stanie, Niechaj podniesie pięść żylastą: Daj pracującym we władanie Płon pracy ich we wsi i miastach, Bankierów rozpedź — i spraw, Panie, By pieniądź w pieniądź nie porastał”. „Pyszniącym się, nadymającym Strąć z głowy ich koronę głupią”. „Niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość — sprawiedliwość”.

I wreszcie — miłość Tuwima do języka, do „ojczyzny-polszczyzny”. Sięganie aż do jej rdzenia. Igranie z etymologią słowa. Dociekliwość i pozeranie starodruków i słowników, nauka u mistrzów naszej literatury. Pasja twórcza. I magia poetycka: stanie się „wtajemniczonym słowozercą”, „człowiekiem-wierszem”, „logofagiem”. Miał prawo powiedzieć o sobie: „Ja, co mowy tej callnę do dna miłością przeorałem”.

Tuwim odsonił mi nie tylko nowe horyzonty poezji polskiej, ale i piękno współczesnej liryki rosyjskiej. Briusowa znalazłem już przedtem, ale Balmont, Blok, Majakowski — to odkrycia, które zawdzięczam ich świetnemu tłumaczowi. Zaginęła mi



JULIAN TUWIM

książeczka „Balmont-Briusow”, ale pięknie wydany „Obłok w spodniach” spoczywa na półce mojej biblioteki obok utworów oryginalnych poety. I tym jego tłumaczeniom zawdzięczam zainteresowanie się nową poezją rosyjską i swoje pierwsze próby przekładowe.

Tak więc, chociaż z biegiem lat urzekli mnie i inni poeci, Tuwim pozostał mi zawsze bliski i jego zgon przed dziesięciu laty odczułem jako stratę kogoś bardzo serdecznego. Symbolizował mi moją niepowrotną młodość, lata terminowania w kunszcie poetyckim, którego mistrzami dla mnie byli on i Staff przed nim.

Nie znalazłem obojście poety, ale byłem z nim w kontakcie. Do przedwojennej „Kameny” przysłał mi przekład jednego z wierszy autora „Oniegina”, ofiarował mi z dedykacją „Lutnię Puszkina”, po wojnie zamieścił przekłady w redagowanych przez K. W. Zawodzińskiego i przeze mnie „Wierszach wybranych” Tłutczewa. Pozostało mi po nim kilka listów, a wśród nich ostatni pisany tuż przed jego wyjazdem do Zakopanego, skąd już żywy nie miał powrócić.

Motyw śmierci występował nieraz u tego pełnego siły witalnej poety. Już w młodzieńczej „Humoresce” wspominał niefrasobliwie (łatwo o tym pisać, gdy się ma dwadzieścia kilka lat!): „Mózg mi zamroczy Czerwonym strachem, Zasyple oczy Drobniutkim piachem”. A potem już zgola makabrycznie: „Kadłub mój zmarły Oplaczą płaczki, Będą mnie żary Małe robaczki” i dalsze bodlerowskie zwrotki o okropnościach rozkładu. Cóż, stało się to w trzydzieści parę lat potem... Ale miał prawo powiedzieć już znacznie później za spolszczonym przez siebie Horacym: „Nie sięgnie mnie tam śmierci pomór Ni styksowe ciemności”. I choć dzisiejsza młodzież poetycka innym bogom holduje, choć chwilowo oddalono się od Poety, za St. Matuszewskim z „Polityki” z całym przekonaniem powtórzę: „Jeszcze do niego powrócą”.

K. A. J.

## SPOTKANIE Z GUSTAWEM MORCINKIEM

(Dokończenie ze str. 3)

parkanach i ustębach, gazety, kalendarze, pieśni kościelne w grubym mącznym kancjonale, podarty sennik chaldejsko-egipski, „Starostę weselnego”, listy pasterskie kardynała Koppa z Wrocławia, prześliczne powieści wychodzące zeszytami o podwójnych tytułach, jak na przykład: „Piękna dziewczyna fabryczna, czyli uciśniona niewinność” lub „Hrabina żebraczka czyli miłość zwycięża”...

— A jeśli chodzi o pisarzy, to który wywarł na pana najsilniejsze wrażenie?

— Słowacki. Byłem pod szczególnym urokiem poematu „W Szwajcarii”. Rodził we mnie chęć dorównania, a nawet przewyższenia poety. Nie mogłem się pogodzić z faktem, że ktoś ładniej ode mnie pisze. W momentach wolnych w czasie pracy w kopalni czytałem najczęściej Słowackiego.

— Przepraszam za niedyskreję: czasem i serce ma pewien wpływ na wybór zawodu. Jak było u pana?

— Gdy wzruszony czytałem rzewną historię o dziewczynie z tęczą i mgły utkanej, o której tak pięknie napisał Słowacki w poemacie „W Szwajcarii”,

wiedziałem w niej czarnooka Bronkę. Była to diabliska łącząca po dachach i topolach, szczerząca zęby do każdego chłopca, pokiwnica wielce ondarszkowata, wcale nie utkana z mgły i tęczy, jak się później przekonałem... Pożyczyła mi „Maluzynę”, przeczytałem ją jednym tchem i nazajutrz oddałem, gdy wracała od pana Haubenstocka ze śledziami. Powiedziałem więc Bronce, że to była bardzo piękna historia, lecz że ja potrafię piękniejszą napisać.

— Potrafisz? — zdumiała się bardzo.

— Potrafię! Zobacysz!

— Jeżeli napiszesz podobną powieść, to możesz mnie wtedy pocałować — rzekła i pognała ze śledziami do domu.

— Pan, sądząc z ilości wydanych powieści, często korzystał z obiecanego przyjemności.

— Nie. Z tego całowania jednak nic nie wyszło, bo zanim napisałem powieść, Bronka wyszła za sztygara Donocika, ja zaś ze złamanym sercem powędrowałem do seminarium nauczycielskiego Towarzystwa Szkoły Ludowej w Białej. Gdy wróciłem na pierwsze wakacje do domu, Bronka była gruba, tęga, pierś stała, a na głowie miała modny kapeluszek z wypchaną młodą sójką i z trzema czereśniami.

— Która z doświadczeń pisarskich uzna pan za najbardziej niezwykle?

— W seminarium pragnąłem wyśledzić tajemnicę pięknego pisania. Udałem się do kolegi, który pisał wiersze, i poprosiłem go, aby powiedział mi, jak trzeba pisać, żeby coś było pięknie napisane?

Kolega wyprowadził mnie na podwórze, a mieszkał w pralni, wskazał na mizerną chudą trawę pod ścianą i rzekł:

— Widzisz? Co to jest?

— Trawa!

— Jaka ona jest?

— Zielona! — rzekłem zdumiony.

— Nieprawda. To nie jest zielona trawa, lecz to jest ruń malachitowa! Pamiętaj! Ruń malachitowa!

I już teraz wiedziałem, jak należy pisać, żeby było pięknie. Gdy jednak w zeszytach szkolnym podczas klasówki użyłem takiego zwrotu: „Kozą rwała ruń malachitową”, to pan profesor od polskiego przekreślił mi to śliczne zdanie czerwonym atramentem i dopisał na marginesie: „Brednia”.

— Kto więc panu powiedział, jak pisać, żeby pięknie pisać?

— Zrobił to matematyk, który zastępował na kilku lekcjach naszego chorującego polonistę. Miał wspaniały wykład o pięknie „koncertu Wojskiego”. Przytnął fotokopie „Pana Tadeusza” i na jego skreśleniach, dopiskach, poprawkach, uzupełnieniach dowiódł nam, że zanim Mickiewicz napisał chociażby jedno zdanie, musiał się rzetelnie namozolić, by znaleźć odpowiednie słowo, a w tym słowie potrzebne mu samogłoski lub zgłoski. Dodał jeszcze, że wystarczy talentu tylko dziesięć procent, lecz trzeba dziewięćdziesiąt procent pracy, żeby stać się dobrym poetą lub prozaikiem. I że trzeba czytać dobrych pisarzy nie dla treści ich książek, lecz żeby podpatrzeć, jak oni pisali. A więc Prus, Sienkiewicz, Żeromski...

— Kto patronował panu pisarstwu?

— Zofia Kossak. Zainteresowała się ona moimi felietonami w „Dzienniku Cieszyńskim”, powiedziała, że mam talent pisarski i namówiła mnie do udziału w konkursie na powieść. Pani Zofia Kossak nauczyła też mnie sokratesowskiej pokory. Gdy nadeszła wieść o zdobyciu pierwszej nagrody, tak mi rzekła:

— Niech to panu w głowie nie zawróci! Pan musi jeszcze dużo się uczyć i dużo nad sobą pracować! Pan bardzo mało jeszcze wie...

— A najważniejszym nauczycielem mądrości życiowej, kto był dla pana?

— Matka. Ona pierwsza zachęcała mnie do czytania i przyczyniła się pośrednio, że „Kamień polny ogarnęło uczucie do diamentu”.

Czas płynął niepostrzeżenie. Smakowite struclę zniknęły z talerza. Miś zdążył już zawrzeć ze mną znajomość. Dwa piękne syjamskie koty dawały odczuć właścicielowi, że zajęty długim odpowiadaniem na moje pytania zaniedbał ich pieszczona. Nie pomny na kocie pretensje szykowałem nową porcję pytań.

— Ogranicz się pan w swojej twórczości niemal wyłącznie do tematyki śląskiej. Czym to należy tłumaczyć?

— Mój świat to kopalnia. O nim dlatego piszę. Dalej raczej nie sięgam.

— Odwiedzał pan Lubelszczyznę. Co z tych kontaktów weszło do twórczości?

— Na Zamojszczyźnie spotkałem się z ciekawymi ludźmi, którzy ratowali dzieci wywożone z Lubelskiego do hitlerowskich Niemiec. Ich relacje ułatwiły mi pisanie powieści „Zabłąkane ptaki”.

Z serii innych pytań dowiedziałem się mnóstwa ciekawych szczegółów o Śląsku Cieszyńskim, przeszłości tej ziemi, interesujących ludziach i sprawach. Zapisalem cały notes, tak iż kończyłem pisać na kartkach papieru używanych przez Morcinkę.

Dziękując pisarzowi za kilkunastominutową rozmowę zlustrowałem na odchodnym gabinet pisarza. Było wiele książek. Ich tytuły wiązały się przeważnie ze Śląskiem, choć nie brakowało także pozycji z literatury pięknej. Na półkach stało ponadto wiele podarunków od czytelników: figurki, rzeźby, wyroby z płótna, jakieś inne drobne, lecz miłe upominki i dzban czarnych jagód przysłanych przez dzieci ze Świecia na Pomorzu.

Myślałem: czy jest drugi pisarz w Polsce, poza Morcinkiem, o tak licznej grupie czytelników, o tak silnym oddziaływaniu na odbiorcę? Nie, na pewno nie. Taką popularność i przywiązanie ma tylko Gustaw Morcinek, autor licznych książek, dzięki którym tematyka Śląska, a przede wszystkim obraz życia i pracy górników, wprowadzone zostały do literatury ojczyznej.

— Tę książkę niech pan czyta do poduszki — słowa, wypowiedziane w czasie dedykowania mi w Skoczowie uroczych „Siedmiu zegarków kopidota Joschima Rybki” — jakże często przywoływały mi na myśl śląską postać śląskiego pisarza, który swoimi książkami wyrąbał w trudzie wieloletnim chodniki do serc i umysłów licznych grona swych czytelników.

Romuald Karaś



# Oflag w Dössel

(Dokończenie ze str. 1)

kulturalno-oświatowej, nauce, przy organizowaniu kursów itp. Ich przewodniczącym był obecny profesor Uniwersytetu Warszawskiego — Tadeusz Paśmierbiński. Największą ilość baraków zajmowali jednak tzw. „Rumuni” — lub „dobrowolcy” — tj. oficerowie, przeważnie starsi wiekiem, którzy byli internowani w Rumunii, a później przewiezieni do Dössel. Była to grupa najliczniejsza, czynna przy organizowaniu teatru, różnych imprez kulturalno-oświatowych.

Kilka baraków zajmowali nasi żołnierze, którzy prowadzili stolarnię, warsztaty krawieckie itp. Oczywiście wszystko to pod ciągłym nadzorem i kontrolą Niemców.

Oprócz tego w wydzielonych barakach była kaplica obozowa i paczkarnia. Stosunek Niemców do nabożeństw był też typowo niemiecki — żołnierze kontrolowali przebieg nabożeństwa stojąc w czapce na głowie dla podkreślenia wagi zajęcia służbowego. Sam widziałem, jak w Dössel w czasie mszy przyszedł podoficer z wartownikiem, przerwał mszę i zabrali kszesza do komendanta obozu. Była to jakaś błaża sprawa, gdyż za kilkanaście minut był z powrotem.

W paczkarni pracowali żołnierze niemieccy pod nadzorem oficera. Każda paczka była rozpakowywana i ściśle kontrolowana. Mimo tej ścisłej kontroli z paczkami przechodziły różne wiadomości z kraju. Najczęściej w opakowaniach, np. znakowanym sztyftem gazety niemieckiej z kraju, w puszkach z podwójnym dnem itp. W takich wypadkach adresy nadawcy też bywały fikcyjne, gdyż Niemcy przekazywali zaraz do gestapo w kraju, i nazwiska, i adresy wysyłających.

Głośno mówiono w Dössel o bezkarności i bezsłownej walce między cenzurą a naszymi najlepszymi głowami o jedną paczkę, w której miały być części radiowe. Chodziło o to, aby paczkę odpowiednio przeniesić ze stacji, podać do właściwego kontrolera, lub nawet wykraść w całości. Nie wiem, jak się ta walka zakończyła — chodziły słuchy, że paczkę ocalono. Ponieważ wykrycie radia groziło niechybną śmiercią, sprawa była otoczona najściślejszą tajemnicą.

Polskim starszym obozu i najstarszym stopniem był generał broni Leon Berbecki. Mieszkał on w barakach grupy rumuńskiej, gdyż wraz z tą grupą przybył. Był to w tym czasie mężczyzna chyba około sześćdziesiątki, siwy, wściekle pokrzywiający, z kimś walczący, zdenerwowany. Nie był szanowany i lubiany w obozie, zwłaszcza w części lubeckiej, za zbyt miękki stosunek do Niemców. Pamiętam, że grupę młodszych oficerów z Lubeki wyzwał kiedyś od komunistów, wywołując ich. Dlatego, że proponowali wprowadzenie pewnych usprawniających innowacji. Oczywiście nie słowa były godne pojęcia, ale ich intencja i forma. Trzeba przyznać, że otaczał się tylko „Rumunami”, wśród których cieszył się poparciem. Osobiście nie lubiłem Berbeckiego z dwóch powodów: za zbyt ostentacyjny, uległy stosunek do Niemców i za wyraźne potępienie prób ucieczki z obozu.

Oprócz Berbeckiego w Dössel było 14-16 innych generałów. Byli to przeważnie generałowie starsi wiekiem, nie odgrywający przed wojną większej roli i mało znani. Byli oni wiecznie z sobą skłócenii i wiecznie walczący o coś z generałem Berbeckim. Spraw tych nie znam, gdyż ani z Berbeckim, ani z innymi generałami nie miałem kontaktów. Wydaje mi się, że te wzajemne animozje wynikały z czysto osobistych stosunków.

Cały obóz otoczony był potrójnym rzędem kolczastych drutów, naelektryzowanych. Między drutami wysokimi na przeszło 2 metry znajdowały się zwoje drutów. W odległości kilku kroków od właściwego ogrodzenia rozciągnięty był drut ostrzegawczy, poza który nie można było przechodzić.

W odległości kilkunastu metrów od siebie były wieże wartownicze, na których stali wartownicy z karabina-

W POPRZEDNIM artykule (p. nr „Kamery” z 15-30 grudnia ub. r.), mówiąc o wzroście władzy prezydenta USA w stosunku do jej początkowego (1787) zasięgu, zaakcentowałem dwa czynniki ograniczające tę władzę do rozsądnych rozmiarów. Jeden — „trust mózgow” — został już zarysowany. Drugi nazwałem opinią szarego człowieka. O ile trust mózgow jest czynnikiem nowym, znamionującym czasy najnowsze w państwach najwyżej uprzemysłowionych, o tyle opinia szarego człowieka to czynnik politykoterwizy stary jak świat, znany nam dobrze pod bezosobową nazwą opinii publicznej.

Tworzy ją prasa, która w ostatnich dziesiątkach lat musi ustąpić i ustępuje swego mocarstwowego znaczenia radiu i telewizji. Szybka obsługa prasowa i błyskawicznie docierające do najdalszych zakątków globu ziemskiego radio i telewizja opanowały uwagę obywatela i urabiają jego poglądy, zanim obywatel zdąży zrobić sobie samodzielną opinię o wypadkach i fenomenach społecznych.

Mechanizm informacji przy pomocy prasy, radia i telewizji jest w USA tak potwornie sugestywny, tak zniewala umysł jednostki, że niemal odbiera jej zdolność do samodzielnego sądu. To wypaczenie dobroczynnego wpływu informacji stanowi w USA zagrożenie moralności społecznej i wolności myśli.

Kongres Stanów Zjednoczonych Ameryki i stanowe organy przedstawicielskie nie są to organizacje opinotwórcze. Przeciwnie. Ich stanowisko jest produktem już wytworzonej, często niejednorodnej opinii społecznej. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że w prasie, radiu i telewizji — jest to zjawisko w skali światowej — sprawozdania parlamentarne zajmują bardzo skromne miejsce.

Prasa w USA jest biznesem w czystej postaci. To prawda. Nie jest ona tu związana z partiami. Znajduje się w ręku wielkiego kapitału. Ale nie jest prawdą, że tańczy jak jej grają wielkie firmy ogłaszające się w piśmie. To rozpowszechnione u nas przekonanie jest spóźnione o kilkadziesiąt lat. Odniesień jest można ostatecznie do czasopism mniejszych — o małej ilości czytelników. Ale nie można tego twierdzić o czasopiśmie mających wielomilionowe nakłady. Te właśnie ze względów handlowych cenę muszą masę czytelniczą, ich liczbę, a nie wielkość ogłoszeń: dochód z tych ostatnich jest mizerny w porównaniu z dochodem ze sprzedaży wielomilionowego codziennego lub tygodniowego nakładu. Czasopiśma chcą sobie zjednać miliony czytelników, muszą reprezentować opinie, swych aktualnych i potencjalnych czytelników. Komentatorzy jednego czasopiśma często wypowiadają celowo sprzeczne opinie — by zaspokoić krytycznego czytelnika.

Bez pomocy wielkiej prasy jednoczącej wielomilionowe rzesze wyborców prezydent nie może być wybrany, a po wyborze nie jest w stanie realizować swego programu. Oczywiście prezydent i jego stronnicy muszą za pomoc słono płacić. Ale mimo to nie mogą forsować swojej koncepcji, muszą podsuwać prasie, a więc czytelnikom koncepcje, które mogą ujmować miliony czytelników. Czytelnicy ulegają sugestiom, ale tylko takim, które służą ich potrzebom. Nie są przecież bezmyślni, są już politycznie wykształceni, właśnie dzięki „swojej” prasie.

W tym znaczeniu opinia publiczna reprezentowana przez prasę jest opinią „człowieka z ulicy” i oddziaływała poważnie na działalność prezydenta. Nie dyktuje mu posunięć, ale orientuje go niby busola.

Radio i telewizja w USA znajdują się w rekach wielkiego biznesu. Ich produkcja jest produkcją wielkich firm utrzymujących sieć radio-telewizyjną. Część czasu nadania jest sprzedawana reklamującym się firmom handlowym i przemysłowym. Ta część jest pozbawiona charakteru politycznego, bo reklamujący się prze-

mi maszynowymi. Wieże były wyposażone w silne reflektory. Każda z wież miała zapas amunicji do ckm, wynoszący po 960 sztuk naboju oraz 25 granatów. Wartownicy mieli bezwzględny rozkaz użycia broni w wypadku ucieczki. Za prawidłowe użycie broni wartownik otrzymywał 14 dni urlopu. W praktyce za zabicie uciekającego otrzymywał 30 dni urlopu, co w czasie wojny, zwłaszcza wobec perspektywy pójścia na front, było rzeczą bardzo podnoszącą atrakcyjność służby wartowniczej w obozie. Komenda obozu wydawała rozkaz

myślowiec chce pozyskać, a nie narażać sobie potencjalnego klienta, unika więc starannie wszelkich momentów politycznych, z natury rzeczy kontrolerskich. Pozostający po „sprzedanym” na reklamy czasie nadania wykorzystuje przedsiębiorca radiowy i telewizyjny dla nadawania własnych programów. Z nimi dzieje się to samo, co z prasą. Opinia abonenta jest kształtowana przez radio i telewizję, i z kolei kształtuje treść programów. Tak producent artykułów konsumpcyjnych tworzy „modę” na towary, a „moda” kształtuje popyt na rynku. O tym, jak zawisły jest prezydent od radia i telewizji, trzeba powiedzieć to samo, co o jego zależności od prasy. Ta zależność jest nawet większa, bo radio i telewizja kształtują dużo skuteczniej opinię publiczną niż prasa. Poza tym trzeba wziąć pod uwagę kolosalną sugestię, jaką stwarzają wystąpienia prezydenta w telewizji. W USA ukuto skrzydlate słowo o „radio appeal” prezydenta na wzór i podobieństwo „sex appeal” gwiazd filmowych. Radio appeal prezydenta, tj. jego zdolność ujmowania abonenta

ment i nie są przez parlament odwoływani. Są oni pracownikami prezydenta przez niego powoływanymi i odwoływanymi. Prezydent jest prełożonym członkiem swego gabinetu. Wszyscy oni są wykonawcami woli prezydenta i są obowiązani względem niego do zwykłego urzędniczego posłuszeństwa. W tych warunkach cała administracja Federacji jest administracją prezydenta, tak jest też nazywana („administracja Kennedy’ego”, „administracja Johnsona”).

Gabinet prezydenta USA to nie żadne kolegium. Oczywiście zdarza się, że prezydent odbywa plenarne posiedzenia gabinetu. Najczęściej jednak prezydent ustawia pracę poszczególnych resortów i podejmuje decyzje w ramach resortu w wyniku rozmowy z głową resortu w cztery oczy. Prezydent może narzucić głowie resortu swoją wolę i — jeśli uzna, że aktualny kierownik resortu nie zrealizuje jej należyście — zwolnić go ze stanowiska — „bez wypowiedzenia”.

Art. IV, Sekcja 1 Konstytucji 1787 tak opiewa: „Przed przystąpieniem do wykonania swego urzędu złoży on

## Mr PRESIDENT (2) EMANUEL ISERZON

radiowego i telewizyjnego, odgrywa w jego karierze nie mniejszą rolę niż sex appeal w karierze gwiazdy filmowej.

Postulat podziału władz wyrażał żądanie, by władza jako całość nie była skoncentrowana w jednym organie, lecz żeby „władze” wzajemnie się hamowały i równoważyły i w ten sposób zapobiegały „tyranii”. Ten postulat zakładał, że każda z istniejących trzech władz — ustawodawcza, wykonawcza i sądowna — będzie hamowała i równoważyła dwie pozostałe. Kiedy kształtował się postulat „podziału władz” (XVIII w.), nie podejrzewano, że powstanie czwarta władza — opinia publiczna ucieleśniona w prasie, radiu i telewizji. Ta „władza” nie tylko „hamuje i równoważy”, ale i w pewnym znaczeniu kształtuje pozostałe, a przede wszystkim władzę wykonawczą, która w naszych czasach stała się — nie tylko w USA, lecz na całym świecie — pierwszoplanowa. Przed I wojną światową parlament (zwany tradycyjnie legislaturą, jakkolwiek jego działalność nigdy nie ograniczała się do prawotwórczości) był kregosłupem państwa jako organizacji władzy. Na skutek monstrualnej rozbudowy zadań administracji (o czym już była mowa przy okazji zaakcentowania wzrostu władzy prezydenta) władza wykonawcza stała się dominującą. Z jej „hamowaniem i równoważeniem” nie dążyłyby sobie rady pozostałe tradycyjne władze, gdyby nie ta „czwarta władza” — opinia publiczna, czyli opinia człowieka z ulicy.

Stosunek prezydent — Kongres jest dobrze znany każdemu czytelnikowi prasy. Kreśląc sylwetkę władzy prezydenta USA nie mam potrzeby nad tym stosunkiem się rozwodzić. Wystarczy powiedzieć, że prezydent i Kongres są władzami niezależnymi, pełniymi poczucia doniosłości swej władzy i znaczenia. Warto przypomnieć, że Kongres nie jest wyłącznym przedstawicielem suwerennego narodu, bo z Kongresem konkuruje kilkadziesiąt parlamentów w stanach sfederowanych. Dlatego Kongres nie był nigdy — w przeciwieństwie do parlamentów innych krajów — otoczony aureolą suwerenności. W tym względzie bije go na głowę Prezydent — Elekt narodu.

Prezydent USA, głowa państwa, ma zarazem pełnię władzy wykonawczej, jest więc jednocześnie głową rządu — premierem. Członkowie jego „gabinetu” nie są powoływani przez parla-

(prezydent) następującą Przysięgę lub Przyrzeczenie: „Przysięgam uroczyście (lub przyrzekam), że będę wiernie wykonywał Urząd Prezydenta U.S. i będę w miarę najlepszej mojej zdolności przestrzegał, chronił i bronił Konstytucji Stanów Zjednoczonych”.

Pozornie jest to mało wiążącą formuła. Tak jednak nie jest. Ten, kto ją składa, podejmuje zobowiązanie dramatycznie ciężkie. Jest to zobowiązanie do wcielania w życie między innymi następujących zasad: „wszyscy ludzie są stworzeni jako sobie równi, obdarzeni przez Stwórcę pewnymi niezbywalnymi uprawnieniami — wśród nich do Życia, Wolności i szukania szczęśliwości... Dla zapewnienia tych praw są tworzone Rządy spośród Ludzi wywodzących swe dobre prawa z przyzwolenia rządzących. Ilekroć jakaś Forma Rządu staje się niszczylińska dla tych celów — prawem Narodu jest tę formę rządu zmienić lub obalić...”.

Te słowa Deklaracji Niezawisłości z 1776 są składową częścią Konstytucji. Na ich dochowanie przysięga prezydent. A przecież niełatwo wcielić w życie te piękne zasady wśród społeczeństwa, w którym mimo upływu bez mała 200 lat od ogłoszenia tych zasad panuje otwarta i niedwuznaczna dyskryminacja rasowa, w społeczeństwie, które w swej znacznej części odmawia Murzynom najelementarniejszych praw i dokonuje na nich aktów gwałtu, jeśli nie lynchu, w którym na miesiąc przed zabójstwem prezydenta Kennedy’ego w tym właśnie mieście, gdzie został zamordowany, w Dallas, Adlai Stevenson, ambasador prezydenta, został znieważony i opluty za to, że głosił konieczność równouprawnienia Murzynów i układow z Wschodem, wśród społeczeństwa, w którym dzieci Texasu reagowały oklaskami na wieść o zabójstwie Kennedy’ego.

Być może strzały w Dallas stanały się lancetem, który przetrzynał ohydny wrzód nabrałszy nienawiści i wsteczniactwa. Może te strzały doprowadzą do opamiętania wsteczne elementy. Życzę tego Stanom Zjednoczonym Ameryki i życzę sobie wszystkim jej prawdziwym przyjaciołom („Economist” z 30.XI. ub. r.).

stronie drutów, chodziło stale kilku, a w nocy kilkunastu wartowników. Oprócz nich stale krążył jeden patrol z psem policyjnym. Trzeba tu wspomnieć, że do stałej kompanii wartowniczej należeli też żołnierze poszukujący podkopów. Nazywaliśmy ich „kretami”, dlatego, że byli przeważnie małego wzrostu, ubrani w niebieskie bluzki robotnicze, z latarkami i żelaznymi pretami w ręku. Stale wchodził pod baraki, poszukiwali śladów kopania, świeżej ziemi itp.

Wincenty Kawalec



# WYCHOWANIE POLITYKA KULTURA

powiedzieć socjolog, ale faktem jest, że wielu ludzi, o których mówię, utrzymując codzienny kontakt z miastem, obsługując między innymi a trzecią najbardziej skomplikowaną maszyną i urządzeniem w Zagłębiu Siarkowym, w Mielcu, czy Stalowej Woli — po obiedzie wraca z powrotem pod moralny i obyczajowy kodeks wsi, kodeks nazwijmy to najdelikatniej nie najnowszym.

Co przywozi na wieś przeciętny chłop, robotnik, czy inteligent? Przede wszystkim pieniądze. Stąd rodzi się ten wielki ruch budownictwa indywidualnego na wsi, stąd te motocykle, meble, telewizory, lepsze ubrania. Ta grupa społeczna na wsi, ma się materialnie najlepiej.

Skąd więc biorą się trudności, o których mówię? Jak już stwierdziłem, działa tu spłot różnych czynników, ale jedno jest pewne już dziś. Dyrekcje zakładów pracy w większości przypadków nie interesują się swymi robotnikami po zakończeniu przez nich pracy. Wydaje im się, że dokonali już wszystkiego, co do nich należy, stwarzając ludziom możliwości zarobków, przywożąc ich do pracy i odwożąc do domu. To, co ci ludzie robią później, to przecież ich „prywatna” sprawa... Jest chyba coś niepokojącego w tym, że w czasie badań zdołano zaledwie w kilku wypadkach zanotować przykłady wyjścia poza podany powyżej schemat.

To jest jedna z przyczyn tego, że tak dużo trzeba poświęcić uwagi właśnie wsi. I nie tylko jej ekonomicznemu, ale i kulturalnemu rozwojowi.

— Ten wynik ankiety jest rzeczywiście interesujący i rzuca nowe światło na problem chłopów-robotników, czy zatrudnionej w mieście wiejskiej inteligencji. Czy wynikają jednak z ankiety wnioski na temat ideologicznej pracy na wsi?

W. K.: Badania pokazały w sposób bardzo wyraźny, że nasze formy oddziaływania politycznego i kulturalnego na wieś są w wielu wypadkach przestarzałe. W pracy wychowawczej na wsi i nie tylko na wsi panuje werbalizm. Tym chyba należy tłumaczyć nudę wiejskiej z szeregu imprez, zebrań, konferencji, odczytów i prelekcji. Badania pokazują np., że w znikomym stopniu w tej pracy wykorzystany jest film oświatowy, mimo że znalazłoby się sporo aparatów projekcyjnych, które można by z powodzeniem użyć do tych celów. Podobnie jest z wkraczającą do naszego województwa telewizją. W powiecie kolbuszowskim próbowano film i telewizję powiązać z tematyką szkoleń partyjnych i oświatowo-politycznych młodzieży ZMW, z niezłymi rezultatami. Są to jednak wypadki raczej sporadyczne.

Procesy wychowania, polityki i kultury to są te same sprawy. Szkoda niestety, że ciągle leżące zbyt wielu działaczy od siebie gromady po województwo nie potrafi sobie właściwie uprzytomnić zachodzących między nimi związków. A przecież sprawy angażowania ludzi po stronie socjalizmu nie mogą być tylko zadaniem etatowego aparatu, który pracuje w różnych ogniwach partii, czy rad narodowych. Wielki proces socjalistycznego wychowania nie może być wyłącznie sprawą bardzo opacznie pojętego „profesjonalizmu”.

— Zaczęliśmy od problemów wsi. Są one rzeczywiście w województwie rzeszowskim najważniejsze. Chciałbym więc spytać, jak przedstawia się wieś jako teren działania, jako przedmiot interwencji ze strony aparatu władzy dla ogólnego podniesienia poziomu władzy w województwie.

W. K.: Mimo zastrzeżeń poczynionych na wstępie musimy wrócić do ekonomiki województwa i to ekonomiki z pierwszych powojennych lat. Wydaje mi się, że warto kilka uwag poświęcić temu zagadnieniu, gdyż wyjaśnia ono to, co w pewnym sensie jest charakterystyczne dla naszego województwa.

Województwo rzeszowskie powstało w roku 1944 jako zlepek złożony z części województwa krakowskiego i dawnego województwa lwowskiego. Dodajmy dla ścisłości: z peryferyjnych powiatów obu tych województw. Ten nowy administracyjny twór rozpoczął swą działalność w chwili, gdy linia frontu przebiegała jeszcze przez środek województwa. Formalnie przyjmujemy datę powstania województwa 18 sierpnia 1944 roku. Jest to dzień pierwszego posiedzenia Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Przeżyliśmy wraz z władzą ludową ciężki bagaż: zacyfrowanie przedwojennej Polski i ogromne zniszczenia wojenne. U nas woja trwała o trzy lata dłużej i objęła niemal jedną piątą województwa. Jej rezultaty to setki zniszczonych wsi i prawie ćwierć

miliona uprawnych kiedyś pól zmienionych w ugory. Nie wyleczyliśmy tych ran jeszcze dziś. Kto zna problem zagospodarowywania Bieszczadów ten wie, jak trudno usunąć te zniszczenia. Byliśmy rejonem rolniczej biedy. Z nielicznych przedwojennych zakładów przemysłowych zniszczeniu uległo około 70 procent. Odziedziczyliśmy na terenie tego rozległego obszaru aż... 22 kilometry dróg o nawierzchni przystosowanej do ciężkiego ruchu samochodowego. Przykładów podobnych znaleźć by można dużo. Ale nie o ich wylczenie przecież tutaj idzie.

Nowe województwo otrzymało strukturę społeczną, która z góry określała sposób rozwiązywania szeregu podstawowych problemów, w tym również i problemów kultury. W roku 1945, 85 procent obywateli województwa rzeszowskiego mieszkało na wsi. To była wtedy i pozostała nadal grupa społeczna, bez której udziału trudno było i jest obecnie rozstrzygać podstawowe problemy społeczne tego terenu, w tym również problemy kultury.

W roku 1963 mimo ogromnych zmian, jakie zaszły w minionym dwudziestolecu, mimo że zatrudnienie poza rolnictwem znalazło około 300.000 ludzi, nadal trzy czwarte mieszkańców tego województwa mieszka na wsi. Pomimo wzrostu ludności miejskiej w tym okresie o około 70 procent Rzeszowskie ma nadal najniższy w kraju wskaźnik urbanizacji.

Zdajemy sobie sprawę z tego charakteru województwa, robimy sporo, by przyjąć rzeszowskiej wsi z jak największą pomocą. W jednym tylko roku 1964 na rozwój gospodarki narodowej, stworzenie nowych stanowisk pracy, na które czeka wielu ludzi z karłowatych gospodarstw, przeznaczamy ponad 4 mld 627 mln złotych. W tymże samym roku na same inwestycje w rolnictwie przeznaczamy ponad 430 mln złotych. Uchwały XIV Plenum KC wskazują, że wieś otrzymała zwiększone nakłady na inwestycje w rolnictwie. Będą one u nas o kilkanaście procent wyższe niż przewidywały to założenia planu 5-letniego.

Od ludzi zamieszkałych na wsi, od ich wiedzy i doświadczenia zależy będzie, czy środki te zostaną należycie wykorzystane i pomnożone przez inicjatywę społeczną samych rolników. Czas prymitywnego gospodarowania nieuchronnie się kończy. Potrzeba nam na wsi coraz więcej ludzi mądrych, światłych, umiejących wykorzystywać zdobycze nowoczesnej agrochemii, zootechniki, mechanizacji i zastosować je we własnym gospodarstwie. Potrzeba nam ludzi umiejących organizować zbiorowy wysiłek wsi dla wspólnych celów, ludzi, którzy potrafią dostosować własny program gospodarczy, program wsi, w której żyją, do potrzeb ogólnopolskich. W wychowaniu takiego człowieka ogromną rolę mają do spełnienia placówki wychowawcze i placówki kultury.

Tak więc to nasze zainteresowanie wsią nie wynika z jakichś doraźnych potrzeb, czy okresowej mody, ale ma swoje uwarunkowanie w przeszłości i współczesności województwa.

— Chciałbym zapytać czy ten trwały „kurs na wieś” bardzo odczuwalny



Członek KC PZPR  
i sekretarz KW PZPR  
w Rzeszowie  
Władysław Kruczek

w sprawach ekonomicznych można odnieść i do problemów kultury?

W. K.: Z zadowoleniem chcę stwierdzić, że coraz więcej działaczy kultury uświadamia sobie, że wieś jest terenem, gdzie można w tych sprawach działać bardzo dużo. Jest to teren, który nie tylko przejawia wielki głód kultury, ale szuka również własnych dróg do niej.

Niestety nie jest to jednak pogląd powszechny. Wśród niektórych działaczy społecznych w organizacjach, instytucjach, w aparacie rad narodowych i wśród niektórych towarzyszy partyjnych są tendencje do bagatelizowania pracy kulturalno-oświatowej na wsi.

— Z czego to wynika? Czy przypadkiem nie z posiadania łatwizny? Praca w tym środowisku wymaga wytrwałości, upor, konsekwencji. Jest praca nieefektywną, o trudno sprawdziwalnych wynikach, na które w dodatku trzeba czekać szereg lat...

W. K.: Niewątpliwie tak. Nie chciałbym jednak przeceniać tej właśnie przyczyny. Wbrew pesymistycznym teoriom o „szeregach trudnościach”, czy wręcz niemożności efektywnego działania w tym środowisku, rzeszowskie przykłady mówią o czymś odwrotnym. Spróbuję pokazać to na kilku przykładach. W roku 1960, bodajże w maju, z inicjatywy działaczy kultury odbyła się w Rzeszowie sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej poświęcona problemom kultury wsi i małych miast. Sesja ta była rozwinięciem problematyki jednej z wcześniejszych egzekutyw KW na ten temat. Zarówno sesja, jak i przyjęta przez nią uchwała, spotkała się z pozytywną opinią działaczy kultury i pracowników placówek k. o. W ciągu następnych miesięcy nazwano tę uchwałę „dokumentem dobrze trzymającym się ziemi”. Chyba słusznie. Powiedziano w nim, że placówki kultury na wsi powinny mieć lepsze niż dotąd lokale, że należy zabezpieczyć dla nich opał i światło. Obliezione ile książek powinniśmy zakupywać co roku do bibliotek, by zaspokoić potrzeby wrażliwego czytelnictwa. W uchwale znalazło się szereg innych punktów omawiających zasadnicze problemy gromadzkiej kultury.

Z uchwałami tego typu, jak wiemy, bywa różnie. Jedne są realizowane w większym, inne w mniejszym stopniu. Nie twierdze, że wspomniana sesja dokonała jakiegoś przełomu. Co więcej, na ostatniej egzekutywie poświęconej problemom kultury wsi i małych miast stwierdziliśmy, że szereg słusznych postanowień z tamtego okresu nie zostało zrealizowanych, bądź że postępuje się wbrew przyjętym wówczas decyzjom. Nie wstydzić niedoścignięcia można usprawiedliwić brakiem środków materialnych. Wiele zaniedbań ma przyczynę bardzo subiektywne i wynika z niedoceniań potrzeb wsi w tym zakresie.

Ale od maja 1960 roku wystąpiło w działalności kulturalnej w Rzeszowskim wiele pozytywnych zjawisk, które mówią nam, że kierunek wówczas wybrany jest słuszny. Weźmy dla przykładu problem czytelnictwa i bibliotek, najbardziej dziś powszechnych placówek k. o. na wsi. Przez trzy ostatnie lata przeciętny przyrost

ilości czytelników w bibliotekach publicznych w województwie rzeszowskim wynosił po 20.000 rocznie. W stosunku do lat poprzednich jest to wzrost bardzo duży. W ciągu tych samych lat zorganizowano na wsi rzeszowskiej około 120 bibliotek gromadzkich i około 160 wiejskich czytelni. Jest w tym duża zasługa samych bibliotekarzy, wynik wprowadzenia bardziej interesujących form pracy z książką, jest w tym rezultat zapobiegliwości ludzi, którzy w staraniach o lepsze pomieszczenia dla książek, o zwiększenie środków na ich zakup wykazali wiele uporu i wytrwałości.

Ale jest też drugi czynnik, godzien podkreślenia. Zmienił się wówczas klimat dla spraw kultury w radach narodowych, organizacjach społecznych. Częściej zaczęły zajmować się tym problemem nasze instancje partyjne. Obserwowaliśmy szereg lokalnych inicjatyw: „Szkoła ogniskiem życia kulturalnego wsi”, „Biblioteka z czytelną ośrodkiem pracy kulturalnej na wsi”. W miejsce kilku rachitycznych, źle utrzymanych i wyposażonych świetlic należących do różnych organizacji proponuje się tworzyć jedną, ale za to z prawdziwego zdarzenia placówkę k. o. dysponującą dobrym sprzętem audiowizualnym, mającą odpowiedniego gospodarza.

Takich placówek można już znaleźć sporo w naszym województwie. Ożywiła się praca Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, wzbogaciła o nowe formy pracy oświatowej działalność społecznych i państwowych muzeów. Dzięki wykorzystaniu leżących bezużytecznie waskotaśmowych aparatów projekcyjnych zorganizowaliśmy w województwie około 300 punktów, gdzie wyświetla się film oświatowy. Są w tym również tego rodzaju kina na wsi.

— Wypada jednak zauważyć, że mimo to nadal daleko nam pod tym względem do sytuacji zadowalającej. Mamy w Rzeszowskim 154 stałe kina wiejskie. Badania Rzeszowskiej Delegatury Najwyższej Izby Kontroli przeprowadzone na zlecenie Sejmowej Komisji Kultury w naszym województwie stwierdziły, że na jedno kino wiejskie przypada 17 wsi z liczbą 13.000 mieszkańców. Były powiaty gdzie wskaźnik ten dochodził do 23.000.

W. K.: Rzeczywiście, sytuacja upowszechniania „najbardziej masowej” ze sztuk nie jest u nas łatwa. Ale chcę przypomnieć, że startowaliśmy niemal od zera. Weźcie pod uwagę, że przed wojną mieliśmy na tym terenie zaledwie dwa kina wiejskie. Jednakże muszę stwierdzić, że wobec ogólnie znanych trudności inwestycyjnych w najbliższych latach nie będziemy rozpoczynać u nas na szerszą skalę budowy nowych kin i placówek kulturalno-oświatowych ze środków państwowych. Trzeba szukać innych możliwości. Choćby przez rozwój sieci kin społecznych, związkowych, przez budowę placówek kultury w czynnie społecznym. Dotychczasowa praktyka mówi, że zwłaszcza na wsi możemy liczyć na tego rodzaju działalność.

Jeśli już jesteśmy przy konfrontacjach. Zdarza mi się dość często rozmawiać z ludźmi, którzy przyjeżdżają w Rzeszowskie po raz pierwszy, bądź po wielu latach nieobecności. Z okazji Roku Ziemi Rzeszowskiej gościliśmy u siebie kilkudziesięciu znakomych poetów i pisarzy. Okazja do tego był zorganizowany przez Miejską i Wojewódzką Bibliotekę Publiczną w Rzeszowie Zjazd Pisarzy Ziemi Rzeszowskiej, pisarzy wywodzących się z Rzeszowszczyzny, bądź o niej piszących. Ludzie ci wyjechali później w Bieszczady, do Przemysła, część spotkała się wówczas ze swoimi czytelnikami. Szereg spotkań odbyło się w bibliotekach wiejskich. Są to w wielu wypadkach momenty wzruszające. Wielką rangę musi mieć słowo pisarza w tym środowisku, jeśli na jego powitanie wyjeżdża banderla na koniach, a na spotkanie z autorem przychodzi cała wieś. Tu nie ma zwykłego problemu z tak zwanym „zabezpieczeniem frekwencji”, czeto nie można by powiedzieć no, o imprezach w wojewódzkim mieście.

Są niestety i inne fakty. Wielu młodych ludzi wywodzących się z Rzeszowszczyzny, przechodzących zresztą ze wsi, którzy zdobyli wykształcenie w większych ośrodkach uniwersyteckich, ma do swego rodzinnego województwa dziwny, niezrozumiały dla nas stosunek. Wolą oni często w imię źle rozumiałych ambicji latami całymi wyczekiwać w dużych ośrodkach mającej przyjść kariery. Wydaje im się, że powrót do swej biedniejszej Ziemi Rzeszowskiej przekreśli ich życie i naukowe szanse. Niejednokrotnie zastanawiam się, w jaki sposób walczyć z tym



uprzedzeniem. Uprzedzeniem mającym przecież nie tak długi rodowód. Na tych ludzi czekamy. Bardzo potrzebna temu regionowi ludzi wykształconych, którzy by potrafili przekazać mu nie tylko swą wiedzę i umiejętności, ale i cząstkę swego serca. Ludzi, którzy potrafili połączyć fachowość z pasją społecznika.

— Jak dotąd, mówiliśmy głównie o tym, co obejmujemy mianem upowszechniania. Ciekaw jestem Waszego zdania o sytuacji instytucji, placówek i stowarzyszeń zajmujących się twórczością artystyczną.

W. K.: Nie chciałbym, by traktowano tę moją wypowiedź jako swego rodzaju „urzędową recenzję”. Podzielę się na ten temat jedynie kilkoma uwagami.

Większość działających placówek artystycznych powstała niemal bez żadnych tradycji. Powstawały i rozwijały się w trudnych warunkach województwa, dzieląc jego trudności i kłopoty. Musiały one stwarzać nawyki i zainteresowania, których w szerszych grupach naszego społeczeństwa nie było. Mimo trudności lokalowych, kadrowych, materialnych i technicznych, odegrały one w rozbudzeniu „głodu kulturalnego” naszego terenu dużą rolę. I za to należy się im uznanie.

Ważnym pod uwagę np. Teatr im. Wandy Slemaszkowej. Daje on rocznie 450 przedstawień. Zespół aktorski liczący 33 osoby wystawia równocześnie dwie sztuki. Jedną na miejscu, drugą w obwodzie. Jest to poważny wysiłek, który daje jednak owoce. Na „Weselu” Wyspiańskiego przyjeżdżali do rzeszowskiego teatru furmankami ludzie z odległych wsi. Dziś nie dziwi nikogo fakt, że Kolo Gospodyń Wiejskich organizuje wyścigi na przedstawienia teatralne.

Teatr Lalki i Aktora „Kacperek” daje 500 przedstawień rocznie w najbardziej odległych zakątkach województwa, entuzjastycznie witany przez dzieci. Orkiestra Symfoniczna pracuje w bardzo trudnych warunkach lokalowych. W niewielkiej sali koncertowej już z nią znakomici soliści polscy i zagraniczni. Zespół systematycznie zwiększa się i stabilizuje.

Niedawno doniosła prasa o sukcesie rzeszowskiej „Estrady” nagrodzonej pierwszą nagrodą na ogólnopolskim konkursie za inscenizację słuchowiska K. I. Gałczyńskiego pt. „Julia czyli delikatność uczuć”. Cieszy nas ten sukces, zwłaszcza że zdobyty został w niełatwej konkurencji.

Mamy w województwie 15 społecznych i państwowych muzeów. Dobrze przysłużyły się one swemu terenowi zachowując i udostępniając zwiedzającym szereg cennych zabytków archeologicznych, etnograficznych, historycznych i innych. Interesujące są ostatnie inicjatywy dyrekcji niektórych muzeów w sprawie nawiązania kontaktów z większymi placówkami tego typu w kraju. Dzięki temu mogliśmy oglądać w Rzeszowie i Przemysłu interesujące wystawy wymienne z muzeów krakowskich. Z ciekawą koncepcją wystąpiło ostatnio Muzeum w Łańcucie, które zamierza zorganizować w Zamku ekspozycję będącą demonstracją tego, jak żyła wsiel w d-branch należących kiedyś do rodziny Potockich, ukazującą antynarodową, renegacką postawę magnatów łańcuckich od XVII wieku po lata hitlerowskiej okupacji.

Drwodem nawiązywania kontaktów między poszczególnymi grupami ludzi różnych zawodów i zainteresowań w czterech współpracujących ze sobą

województwach jest otwarta ostatnio w Rzeszowie wystawa malarstwa i grafiki artystów białostockich, kieleckich, lubelskich i rzeszowskich.

Chciałbym zatrzymać się nieco szerzej przy środowisku plastycznym w województwie rzeszowskim. Wydaje mi się, że proces zrastania się tego środowiska z regionem, umiejętność połączenia ambicji twórczych z troską o estetykę ulicy, domu, sklepu, wążanie się plastyków z szeregiem inicjatyw politycznych i kulturalnych podejmowanych przez społeczeństwo i władze są najlepszym dowodem ich społecznej użyteczności. Na josać asolwentów krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, którzy przed ośmiu laty przyjechali na stałe do Rzeszowa potwierdza się w pełni słuszność tezy o potrzebie tworzenia w kraju nowych środowisk artystycznych. Obserwujemy wzrost ogólnej aktywności twórczej tego środowiska. Coraz więcej tych młodych ludzi ma wystawy indywidualne i bierze udział w wystawach krajowych. Powołane niedawno Biuro Wystaw Artystycznych zorganizowało w roku bieżącym 70 wystaw plastycznych. Po raz pierwszy wystawy te docierają do środowisk robotniczych w zakładach pracy. W roku przyszłym urządzane będą one również na wsi. Z okazji nowego roku szkolnego uczestniczyłem w otwarciu dwu szkół Tysiąclecia. Przyznam się, że i ja i inni uczestnicy tego spotkania, a był wśród nich również wicepremier Piotr Jaroszewicz, byliśmy przyjemnie zaskoczeni, że na ścianach korytarzy i sal szkolnych wiszą obrazy przekazane tym nowym obiektom przez rzeszowskich artystów. Ostatnio podjęli oni zobowiązanie, by z okazji 20-lecia Polski Ludowej przekazać obrazy dalszym kilku szkołom oraz zaproponowali wykonanie kolorystyki wnętrza jednej z Tysiąclecia.

Myślę, że oddanie w dniu 22 lipca 1964 roku temu środowisku adaptowanego obecnie ośrodka, w którym znajdują pomieszczenia dwie duże sale wystawowe, kilkanaście pracowni, pomieszczenia klubowe i biurowe zachęci naszych artystów do dalszej twórczej pracy i wzięcia swej przysięgi i ambicji z dalszym wszechstronnym rozwojem Rzeszowszczyzny.

— Chciałbym poruszyć jeszcze jedną sprawę, która wiąże się z aktualną sytuacją ekonomiczną kraju. Wiadomo, że w ciągu najbliższych lat musimy oszczędnie, niż kiedykolwiek gospodarować środkami na inwestycje, nazwijmy, nieproducyjne. Dotyczyć to będzie również inwestycji w zakresie kultury.

W. K.: Nie ukrywam tego. Mówią o tym wyraźnie uchwały XIV Plenum KC. Sens tych uchwał leży również w tym, by otrzymane na ten cel środki wykorzystać. Dobrze wiemy, że rady narodowe zwłaszcza niższych szczebli co roku nie wykorzystują poważnych sum na cele kultury. Tak dzieje się i u nas. Chciałbym jednocześnie przestrzec przed pewną nieuzasadnioną psychozą, jaka się tu i ówdzie wytwarza w związku z porządkowaniem tych spraw. Dużo zależy od ludzi, którzy zajmują się tymi problemami urzędowo i społecznie.

— Konieczny warunek to długofalowa działalność zapewniona stałością kadr. Tu jednak z przykrością trzeba stwierdzić, że w ciągu 3 lat w powiatach naszego województwa zmieniło 26 kierowników wydziałów kultury PPRN, a są powiaty, gdzie zmiana na tym stanowisku następuje przeciętnie 2—3 razy w roku.

# Powszednie uwagi o niedzielnych łamach

BOLESŁAW BARTOSZEWICZ

1

Tygodniowe dodatki do codziennych gazet wojewódzkich wychodzą w Polsce od lat w większości wypadków kilkunastu. Nie powstały one wszędzie w tym samym czasie. Ale ostatecznie latem 1954 roku wszystkie dzienniki wojewódzkie posiadały własne dodatki niedzielne. Niemal wszystkie te dodatki nosiły w podtytułach nazwę: społeczno-kulturalny.

Warto od razu przypomnieć, że dąży do powstawania dodatków uzależnione były nie od kształtowania się potrzeb kulturalnych konkretnych środowisk w konkretnym regionie. Potrzeby istniały przecież wszędzie. To nie powinno ulegać wątpliwości. Powstawanie dodatków zależne zaś było od tego, kiedy same redakcje dzienników — ściślej zaś: ich kierownictwa — doceniły ważność, a nawet konieczność takiego przedsięwzięcia. Kiedy dostrzegły atrakcyjność problematyki kulturalnej i zrozumiały, że pełne jej omawianie, prowadzenie długotrwałych dyskusji, inicjowanie kampanii publicystycznych o charakterze bardziej ogólnym, nie może już się zmieścić w codziennych wydaniach gazet wojewódzkich. Pewne znaczenie miał również fakt, że w okresie, w którym powstawały dodatki, obowiązywała w polityce kulturalnej centralizacja. Poza Warszawą i Krakowem nie wychodziły w ogóle czasopisma społeczno-kulturalne czy literackie. Na przełomie lat 1948—49 nastąpiła likwidacja regionalnego czasopiśmiennictwa. W tej więc sytuacji dodatki odegrały z konieczności rolę tygodników regionalnych poświęconych przede wszystkim problematyce rozwoju kulturalnego poszczególnych ziem Polski. Z jednej więc strony dodatki zaczęły domagać się sprawniejszego upowszechniania kultury, z drugiej zaś stały się — przeważnie zresztą jedyną — trybuną miejscowych twórców i działaczy. Nareszcie ludzie ci zdobyli możliwość zamieszczania gdzieś swych prób literackich, a także dzielenia się z czytelnikami własnymi poglądami na temat metod i form rewolucji kulturalnej. Wiemy przecież, jak w owym czasie — mimo wielu słownów o roli terenu w upowszechnianiu kultury — było niezwykle trudno terenowemu pisarzowi, nawet posiadającemu doświadczenie literackie, wcisnąć się na warszawskie czy krakowskie łamy. Jak bardzo owe łamy traktowały po macoszemu terenowe sprawy.

Tak więc dodatki tygodniowe zyskały z miejsca rangę dużą i poważną. Często — rzekłbym — trochę niepodziwiana. Szczególnie mam tu na myśli ośrodki wojewódzkie mniejsze, najbardziej oddalone od centrów my-

śli intelektualnej, takie jak np. Kielce czy Rzeszów. Koniunktura została wykorzystana.

Ale potem przyszły lata koniunktury głównej, lata Naprawy. W dziedzinie życia kulturalnego rozpoczął się okres decentralizacji, wyzwolenia twórczej inicjatywy, przeniesienia decyzji w sprawach metod i form upowszechniania kultury w teren, do samych odbiorców kultury. Nastąpiła wreszcie poważna robota nad kształtowaniem prawdziwych ośrodków twórczych w terenie. Oczywiście, że wszystko to stało się bodźcem dla regionalnego czasopiśmiennictwa w ogóle, społeczno-kulturalnego zaś przede wszystkim. Otwierały się dlań nowe możliwości. Powstały nowe periodyki.

W tej sytuacji przekształcała się w pewien określony sposób rola dodatków tygodniowych. Stawało się oczywiste, że jeśli dodatki mają być nadal potrzebne czytelnikowi, muszą uzupełniać tygodniki kulturalne, coraz liczniej powstające, w żadnym wypadku zaś nie dublować ich. Nie dublować ani tematycznie, ani tonem, ani tym więcej wyglądem. Ale czy znaczyło to, że nastąpił oto zmierzch dodatków poświęconych tematyce kulturalnej? Czy nowa sytuacja oznaczała, że dodatki winny stać się tygodniowymi magazynami o bliżej nie określonej koncepcji? Przecież gazety wojewódzkie nie do tego samego czytelnika trafiały, trafiają i będą trafiały, co tygodniki lub dwutygodniki społeczno-kulturalne. Przynajmniej nie tylko do tego czytelnika. Dowodzi tego rzecz najprostsza: różnica w wysokości nakładów. Nie trzeba uciekać się do pomocy socjologii, by powyższy fakt stwierdzić. Nieprawdaż?

Konkretyzując: w ostatnich latach szczególne pole do popisu zdobyła własna myśl twórcza zespołów redakcyjnych i w ogóle ludzi piszących, więc w jakimś stopniu kształtujących opinię publiczną. W jakim stopniu? To zależy jednak głównie od ludzi piszących. A zatem samodzielne dyskusje na łamach dodatków kulturalnych, odważne stawianie postulatów, popieranie rozsądnych i skutecznych inicjatyw terenowych, zmierzających do podnoszenia rangi poszczególnych ziem naszego kraju — słowem to wszystko, czemu na imię społeczny ruch kulturalny — winno bardziej niż kiedykolwiek przedtem stać dziś w centrum ludzi redagujących tygodniowe dodatki. Czy wszędzie tak się dzieje?

Przed kilkoma laty pod tym względem zapanował w części prasy wojewódzkiej przerażający obyczaj. Za-

(Dokończenie na str. 10)

W. K.: To są praktyki niesłuszne i niedopuszczalne.

— Inny jeszcze problem. Nie stać nas będzie w najbliższym czasie na budowę szerokiej sieci domów kultury, bibliotek, czytelni. Sytuacja bibliotek wiejskich jest u nas trudna. Jak wynika z badań przeprowadzonych przez Tadeusza Zarzębskiego, prawie połowa (47,1%) wiejskich placówek bibliotecznych w naszym województwie nieści się w pomieszczeniach o powierzchni poniżej 20 metrów kwadratowych, bądź w pomieszczeniach niesamodzielnych. Czy nie warto by uoowszechnić inicjatywę Związku Młodzieży Wiejskiej w naszym województwie, który z okazji 20-lecia Polski Ludowej podejmuje w czynie społecznym remonty świetlic, klubów, bibliotek, rzucając hasło, by jak największa liczba placówek kultury na wsi mogła w roku przyszłym otrzymać odnowione, odremontowane pomieszczenia?

W. K.: To bardzo pożyteczna i realna inicjatywa. Sądzę, że można tą drogą stworzyć wielu bibliotekom, klubom, świetlicom, jeśli nie idealne, to przynajmniej znacznie lepsze warunki do pracy. Wiele zależy tutaj, jak i wszędzie, od ludzi. Działalność kulturalna na wsi prowadzona przez ZMW, placówki rad narodowych, czy przez pojedynczych entuzjastów, wymaga zaangażowania w tę pracę. Mamy przykłady, że w najtrudniejszych — wydawałoby się — warunkach skromni, ofiarni, ludzie dokonują przeobrażeń środowisk, w których żyją i pracują.

Nie wszystko można zrobić za pieniądze, nie na wszystko tych pieniędzy starczy. Osobiście wierzę w społeczny ruch kulturalny, w jego wielką rolę, jaką może on odegrać w procesie wychowania nowego człowieka. Działalność kulturalna wymaga umiejętności trafiania do ludzkich serc i uczuć. Skuteczność jej zależy od wiary ludzi w sens tej pracy.

Trzeba umieć cenić kadrę społecznych sojuszników wielkich procesów wychowawczych, jakie rozwijamy w naszym kraju. A cenić to nie tylko uznawać i nagradzać, ale i od niej się uczyć. Stawiamy na ruch społeczno-kulturalny. Liczymy na jego pomoc w przeobrażeniu politycznym i kulturalnym kraju.

Myślę, że u progu nowego 1964 roku, którym wchodzimy w jubileusz 20-lecia PRL warto wszystkim działaczom kultury, pracownikom placówek społecznych i państwowych działających dla rozwoju socjalistycznej kultury, artystom stwarzającym nowe horyzonty dla naszych poleceń i wyobraźni, gorąco i serdecznie podziękować za ich twórczy wysiłek w minionym dwudziestolecu.

Chciałbym w imieniu wojewódzkiej instancji partyjnej i swoim własnym życzyć im powodzenia w pracy i życiu osobistym; nowych sukcesów na nowe dwudziestolecie.

Wywiad z I sekretarzem KW PZPR w Rzeszowie Władysławem Kruczkim przeprowadził Adolf Jakubowicz.



Odizolowaliśmy na terenie tego rozległego obszaru aż... 22 km dróg przystosowanych do ciężkiego ruchu samochodowego



# START „KAMENY”

(III)

KAZIMIERZ ANDRZEJ  
JAWORSKI

W NUMERZE drugim ukazały się nowe nazwiska: Swiatopelka Karpińskiego (wspomniałem już, że Czechowicz przysłał mi jego wiersz), jednego z moich wychowanków — Wita (a właściwie Witolda) Kasperskiego, którego obecnie łączą z literaturą tylko stosunki platoniczne i który „szklane domy” patrona

naszego Koła Literackiego realizuje jako prezes Zarządu Głównego Spółdzielni Mieszkaniowych, w postaci olbrzymich bloków wznoszonych w całej Polsce, i Jalu Kurka, który na mą prośbę przysłał cztery przekłady z włoskiej poezji futurystycznej oraz fragment swego poematu. Odpowiedział mi natychmiast (poznałem go osobiście w Krakowie przed paru laty), a w liście podał również adresy Przybosa, Brzękowskiego i Czuchnowskiego, których utwory wkrótce miały się również ukazać w „Kamenie”. Kontynuując „akcje” słowiańską zamieściłem teraz przekłady Czechowicza i własne z współczesnej poezji ukraińskiej. Odpowiedzi redakcji były pół na pół zmyślone. W jednej z nich odstanialiśmy ważny punkt naszego programu, który mieliśmy ogłosić pod koniec roku wydawniczego: „Tak jest, „Kamena” propaguje zbliżenie kulturalne narodów słowiań-

skich, dlatego w każdym numerze znajduje Pani utwory tłumaczone z innego języka słowiańskiego: w pierwszym zeszycie — z czeskiego, w obecnym — z ukraińskiego, w następnym — z rosyjskiego, w czwartym — ze słowackiego itd.”

W tym czasie otrzymałem z Krakowa obszerny list od Tadeusza Bocheńskiego. Po wyjeździe z Lublina osiadł tam i uczył w Gimnazjum Nowodworskim. Tadzio, którego bardzo cenilem jako artystę i człowieka, i z którym niemam nocy przegadałem na tematy obu nam bliskie, tj. związane z poezją i Tatrami, pisał m. in.: „Z podziwem i radością patrzę na Twe zabiegi owocne, tj. na dwa już zeszyty „Kamenu”. W czasach gdyż kieszeniowej, niemal ostatecznej i beznadziejnej drukować pismo poetyckie i z dalekiego Chelma atakować nim zahukaną niedostatkami materialnymi i brawurą czy tupetem federacji literackich dzisiejszość na-

szych miast i dusz — to zaprawdę szlachetna odwaga, zdrowy prześąd, idealistyczna otucha (...) Zyczyć Tobie i Twojej miłej „Kamenie” pięknego rozrostu i rozwoju. Widząc tyle nazwisk i taki rozmach właśnie poetycki, nabieram i ja otuchy, że się to wszystko uda, że nie upadnie i zwycięży”. Bocheński obiecywał służyć mi swoim materiałem i już przysłał coś niecoś, a „ponieważ słowu Waszemu odpowiedzieć powinna kieszka czytelników” przekazał administracji należność za cały rok obiecując jednak prenumeratorów. Tacy to już byli ci „współpracownicy „Kamenu”: nie tylko bezinteresownie zasilił ją wartościowymi utworami, ale wielu z nich jeszcze czuło się w obowiązku opłacać prenumeratę. Odezwali się Bielski, przysyłając dwa liryki. Otrzymałem wiersz od Stanisława Pięta-ka. „Interes” się rozkręcał.

Rozkręcał, to znaczy, że numer po numerze liczba współpracowników skromnego, w chałupniczych warunkach wydawanego pisma wciąż się powiększała, że pojawiały się w nim nowe nazwiska z różnych części Polski. Jednych zapraszałem do uczestniczenia w chełmskim eksperymencie, inni zgłaszali się sami. W numerze czwartym już wystąpił z wierszem przedstawiciel grupy łódzkiej „Meteor” — Grzegorz Timofiejew i awangardy krakowskiej — Jan Brzękowski. W piątym — Stanisław Czernik, który odtąd miał się stać gorliwym przyjacielem „Kamenu” i który zasilał ją wierszami i publicystyką literacką, zanim stworzył w Ostrzeszowie „Okolicę Poetów” (wtedy już mniej o nas pamiętał) — zaprezentował się po raz pierwszy w chełmskim miesięczniku artykułem o poetach chłopiejskich pochodzenia pt. „Synowie ziemi”. W następnym zeszycie przybywają jeszcze trzej poeci wileńscy: Teodor Bujnicki, Józef Maśliński i Jerzy Putrament. Dzisiejszy płodny prozaik zaczynał jako rymotwórca, a w przysłanym nam wierszu („Poecie”) jakby błogosławił wstępującego na drogę poetycką kolegę.

W tym samym numerze debiutował u nas Marian Czuchnowski artykułem „Uspołecznione eksperymenty”, który, jak zaznaczał przypisek redakcji, miał być pierwszym „na wciąg aktu alny temat wzajemnego stosunku treści i formy w poezji”. „Pragnęlibyśmy — sugerowałem w zakończeniu tego post scriptum — by sprawa ta znalazła w naszym piśmie wszechstronne oświetlenie”. Jakby zgodnie z tym życzeniem, już w następnym numerze — siódmym — Czernik zamieścił pierwszą część swych rozważań na temat „Treści i formy” (dokończenie drukowane w zeszycie ósmym). Numer siódmy zawierał też utwór Juliana Przybosa „Z Tatr” — jeden z najpiękniejszych wierszy tatrzańskich w liryce powojennej. Z nowych nazwisk występujących w zeszycie ósmym i dziewiątym wymienić należy Jana Szczepańskiego, Leopolda Lewina, Antoniego Bogusławskiego, Stanisława Helsztyńskiego, Jadwigę Ważewską, Ludomira Rubacha, Mariana Piechala (jeszcze jeden łódzki „meteor”), Józefa Mondscheina, Sergiusza Kulakowskiego i J. N. Kłosowskiego. Ostatni nr 10 miał charakter specjalny i wrócić do niego później.

„Akcje” słowiańska konsekwentnie prowadziłem dalej. Jeżeli chodzi o Czechów i Słowaków, wiele materiałów (artykuły, przekłady, noty do kroniki) dostarczał mi A. Madeja, który w ogóle do naszego eksperymentu ustosunkował się, przynajmniej w pierwszych latach, bardzo życzliwie, a nawet służył nam pomocą w kolportowaniu „Kamenu” w Lublinie.

W numerze trzecim znalazły się przekłady z poezji rosyjskiej (od Puszkina do Pasternaka), w czwartym — z poezji czeskiej i słowackiej z artykułem Madeja o „Współczesnej lirycie słowackiej”, w piątym — z najnowszego narodu słowiańskiego — Serbo-Lużyczan, zalewanych niecierpliwą i dzielnie broniących się przez nią (artykuł i przekłady L. Rubacha w szóstym — poezja czeska ze szkicem Madeja o Vilemie Zawadzie i rosyjska, w siódmym — ukraińska, w ósmym — czeska, rosyjska i bułgarska, w dziewiątym — rosyjska (z artykułem S. Kulakowskiego o Makymilianie Wołoszynie), a powiększając do 28 stronice numer dziesiąty z okazji 100-lecia „Pana Tadeusza” został całości poświęcony Mickiewiczowi. W ten cel otrzymaliśmy nawet małą swawencję od Związku Literatów w Lublinie — w kwocie 20 zł.

(Dokończenie w następnym numerze)

POCZUŁEM się jakby rozneglizowany, gdy zauważyłem, że w jakiś niewiadomy sposób urwały mi się dwa guziki. Drobna rzecz a wstyd. Oficer, któremu brakuje przy mundurze guzików, wygląda jak lajza. Tak to zdaje się rozumiały zwyczajowe oczy starszego sierżanta Pychcia, który przyglądał mi się oparty o ścianę. Niby nie jego rzecz zwracanie mi uwagi, ale jednak. Wystarczyło uchwycić spojrzenie, w którym czaił się jakiś regulaminowy niesmak. Pychciec był przedwojennym zawodowym podoficerem i sprawy drylu wojskowego miał w małym palcu. Cóż z tego, że tu front, że linia umocnień przeciwnika oddalona jest od nas o niecałe dwa kilometry, że pociski padają zniemacka to tu, to tam i że któryś z nich, mówiąc delikatnie po sztabowemu, może nie tylko urwać guziki, ale i lepek, albo wypruć flaczki. Tamto jest zrozumiałe samo przez się, a mnie przecie żaden pocisk guzików nie porywał. Same tak jakoś zdezzerowały.

Wiadomo, że najlepszym sposobem obrony jest atak, więc i ja szybko się zdezydowałem. Podeszedłem energicznie do Pychcia.

— Powiedźcie mi, sierżancie, gdzie tu jest krawiec. Urwały mi się dwa guziki i trzeba je przyszyć, a nie mam igły i nici.

Pychciec spojrział na mnie trochę zaskoczony.

— Krawiec — powiedział i chwilę zastanowił się. — Krawiec — powtórzył — to tu niedaleko, koło Dymszy. Wyprostował się z lekką i przybrał sprężystą postawę. Pytanie moje widocznie go przekonało. Nie lajza, tylko mały przypadek. Każdemu może się to zdarzyć. Uśmiechnął się nawet porozumiewawczo.

Front na Wiśle zaległ od szeregu tygodni. Sztab dywizji rozlokował się w Radości. I choć rzeka przedzielała stanowiska, nie dawało to żadnego zabezpieczenia przed ogniowymi akcjami przeciwnika. Odległość dwóch kilometrów — to mucha dla artylerii i miotaczy min, a nawet dla ognia pośredniego ciężkich karabinów maszynowych. Co prawda każda akcja wywoływała przeciwalkę, która jako tako hamowała zapędy tych tam zza rzeki, ale trzeba było dobrze uważać, aby nie znaleźć się w bezpośrednim sąsiedztwie pękającego pocisku.

Hitlerowcy w tym okresie zachowywali się niemrawo i ich zakusy artyleryjskie niezbyt dokuczały Radości. Niemniej jednak byli ranni i zabici. Głównie wśród ludności cywilnej. Dużo ludzi mieszkano w tym czasie w podwarszawskich osiedlach i gdy one znalazły się na linii frontu, nie było dokąd ewakuować cywilów. A i oni sami jakoś nie zdradzali ochoty opuszczenia swoich domków.

Może Niemcy nie mieli dobrych informacji, kto kryje się w osiedlu, dość że ostrzeliwano Radość było raczej słabe. To znaczy z wojskowego punktu widzenia. Bo dla przeciętnego cywilnego człowieka na pewno było niewygodne i utrudniające mu codzienne sprawy. Ale mimo tych drobnych incydentów życie toczyło się prawie normalnie. Na uliczkach widziało się spacerujących przechodniów. Żołnierze szli oddziałkami, grupkami lub pojedynczo. Nawet dzieci biegały dość bez troski. Czasami uliczkę przebiegł kot lub po wybolistej drodze obok pojazdów mechanicznych pojawił się konny zaprzęg.

Kilka sklepików i kawiarenek uwydatniało jakby koloryt zwykłej codzienności.

Najgłośniejszą było u Dymszy. To znaczy znany winogret, Adolf Dymsza — otwo-

rzył w Radości zwyczajem tych czasów, małą kawiarenkę. Herbała, kawa, sandwiche i wcale nieźle ciastka zachęcały do spożycia. Tyle tylko, że u Dymszy płaciło się więcej niż gdzie indziej. Podwójnie, gdy podawał zwykły kelner, a potrójnie gdy podawał celebrował sam właściciel kawiarni. Ale i w tych warunkach sporo ludzi snobizowało się. Interesik szedł najgorzej. Ustępstw nie czyniono nikomu. Nawet wojskowemu. Nie wyróżniano ich i w ten sposób nie podkreślano niecodzienności sytuacji.

## POCHODNIE HITLERA

WACŁAW GRALEWSKI

Tuż obok kawiarenki w małej drewnianej przybudówce otworzono niewielki usługowy punkt krawiecki.

Mistrz igły popatrzył fachowo na moje braki i powiedział rzeczowo: — sie zrobi! I rzeczywiście po kilku minutach mundur zaopatrzony w nowe guziki stał się normalnym regulaminowym mundurem. Pozbyłem się braku, który w niewidoczny dla zwykłych ludzi sposób utrudnia życie. Miałem jeszcze do dyspozycji małe półgodzinki więc jednak postanowiłem wpaść do kawiarenki i wypić bodaj małą czarnekę. Tak jak w zwyczajnych czasach.

Właśnie mistrz Adolf postawił przede mną filiżankę, gdy nagle niedaleko trzasnęło coś mocno. Niewątpliwie był to jeden z tych nielicznych pocisków, które dawały znać, że tam za Wisłą interesują się nami. W kawiarni nikt nie drgnął, ani nie poderwał się nerwowo. Nawet kobiety. Ot pospolita rzecz.

— Dwadzieścia złotych, rubelki też przyjmujemy jeden za jeden!

Utarł się zwyczaj, że zaraz po podaniu napoju płaciło się rachunek. Niewiadomo przecież, co się stanie za chwilę. Lepiej więc z góry.

Innym punktem w Radości, gdzie zobaczyć można było znaczne skupienie ludzi był kościół. W niedzielę na sumie wypełniony po brzegi. Gdyby tak trafiło weń kilka pocisków, a choćby nawet jeden, to skutki trudno byłoby określić z góry. Ale można je sobie wyobrazić.

I znów mam wrażenie, że gdyby Niemcy mieli jakieś takie informacje, no to wykorzystaliby je na pewno. Ale psychoza odwrotu i poczucie klęski zapewne paraliżowały ich czynności. Myśli zaczepne zostały zepchnięte do podświadomości. Wysiłki miały na celu zabezpieczenie własnej skóry.

Po nabożeństwie ludzka gromada rozlewała się po małym placu przedkościelnym, jak gdyby w czas odpustu w małym prowincjonalnym miasteczku. Potem tłum rzedniał. Wysały go małe uliczki i przejęcia wśród rosnących kępami drzew.

Widocznie potrzeba znormalizowania życia, owo społeczne „sprzeżenie zwrotne” nakazywało wyzbycie się wszelkiej nerwowości i pośpiechu. No i zmęczenie, wielkie zmęczenie, jakie było udziałem wszystkich.

Po powrocie do sztabu udzielono mi ekscytującej informacji. Za kilka dni ofensywa. Tak wynikałoby z zarządzeń, które miały postawić oddziały w stan najwyższej gotowości. Przyszedł rozkaz dokonania szczegółowych inspekcji całej linii frontowej. Mnie zlecono udanie się na odcinek w pobliżu War-

Inspekcję odbyłem w nocy. Odcinek batalionu, który kontrolowałem był typowy. Nie było tu żadnych szczególnych niejasności. Punkt dowódcy batalionu mieścił się w chałupie na małym wzgórku. Widoczna doskonale zza rzeki. A więc trafienie jej przez pocisk artyleryjski było dziecinnie łatwe. Co skłoniło dowódcę do wybrania tego tak niestosownego miejsca? Zapytaniu mojemu towarzyszyło zaniepokojenie.

Właśnie zbliżaliśmy się po dokonaniu kontroli do jego siedziby. Miast

odpowiedzi „kombat” wysunął palec przed siebie. Coś pokazywał. Zaczęłem się wpatrywać. Noc było dość jasna, więc bez trudu zobaczyłem białą plamę. Poruszała się. Chyba człowiek. Za chwilę byliśmy w jego pobliżu. Biała plama nie była duchem, ale właścicielem chałupy. Odwiecznym zwyczajem wieśniaków, którym nieznaną są wygody asenizacyjne wyszedł przed dom popatrzeć na gwiazdy... W samodzielnym koszuli i takichże gatkach, ze skołtunioną czupryną, przypominał trochę widmo z „Wesela”.

— Ubrałem się w com ta miał — mówił jego ruchy wynikające z drapania się po plecach i zaspanej głowie. Znikł bezszelestnie, tak jak znikają widma.

— Jak to — wykrzyknąłem trochę zdumiony — więc on tu mieszka? — Z całą rodziną — wyjaśnił dowódca batalionu — nie chcieli się usunąć. Powiedzieli, że jak zginą, to w swojej chałupie. Ale jak dotąd nie im się nie stało. Mają widać nosa. Dotąd Niemcy nie ostrzeliwali tego punktu. Może myślą, że szkoda pocisków, bo przecież żaden zdrowo myślący człowiek nie tkwiłby w niej. Żyjemy razem. Punkty dobry, widoczność doskonała.

— Nie mogą być gorszy od nich — zakończył z wyraźnym akcentem wojskowej ambicji.

Spotkałem go już po drugiej stronie Wisły, gdy ofensywa nabierała tempa i gdy nasza dywizja docierała do Bydgoszczy. Przypomniałem mu chałupkę.

— Nic się do końca nie stało. Niemcy ani razu nie ostrzeliwali jej.

Po owej kontroli zmieniono pozycje wypadowe poszczególnych oddziałów. Naszą dywizję ulokowano w pobliżu Grochowa. W kilka dni potem zaczął się silny ogień artyleryjski na skrzydłach. Rósł i potężniał jak zbliżający się huragan. Tak, zaczęło się nareszcie! Dywizja wyprężyła grzbiet jak dziki kot szukający się do skoku.

Przechodziłem szybko ulicą. Miałem wiadomość dla szefa sztabu. Kilku wystrachanych cywilów biegło nerwowo. Ktoś im mylnie wbił w lepetyny, że to Niemcy atakują. Patrol wojskowy szedł zwykłym krokiem takim, jakim codziennie idą żołnierze w marszu.

Wieczorem za Wisłą wykwitło kilkanaście gejerów ognia. Coś tam Niemcy jeszcze pospiesznie palili w Warszawie — a może pociski rozarzyły pożarowiska. Płonęły jak pochodnie Nerona. Przedmioty, a nawet miejsca opróżnione przybierają cechy ludzi, którzy tu byli. I tak jak oni ulegają męczącemu, choć pozornie w znaczeniu przenośnym. Może to mi podsunęło skojarzenie z „Quo Vadis”.



W poprzednim numerze „Kamery” zamieściliśmy interesującą analizę „Fizyków”, dokonaną przez Józefa Maślńskiego w związku z realizacją rzeszowską, obecnie wracamy do sztuki Dürrenmatta z racji późniejszej nieco premiery w lubelskim teatrze dramatycznym.

# Sztuka o sytuacji paradoksalnej

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

**B**LISKO cztery lata temu Państwowy Teatr im. J. Osterwy w Lublinie wystawił „Romulusa Wielkiego” w reżyserii Jana Swiderskiego, grającego zarazem rolę tytułową. Stało się to po warszawskiej „Wizycie starszej pani” i po „Romulusie” warszawskim, ale trzeba było jeszcze zaprezentować u nas Dürrenmatta w programie i wywiadach prasowych. Dziś, wydaje się, że znakomity Szwajcar osiągnął w Polsce apogeum swojej sławy, bo są już próby obniżania kursu jego ostatnich utworów. Tak się przynajmniej rzecz ma z „Fizykami”, o których aż na prowincji zaczęła kurżować gadka, że „banal”, że „nie dorównują...” etc. Trojaki może być podłoże psychologiczne takich enuncjacji: snobizm („widzieliśmy lepsze”), zablędlawe unikanie pochwały tego, co załatuje „pesymizmem”, wreszcie po prostu brak rozeznania. Ten trzeci „moment psychologiczny” jest oczywiście najbardziej niekorzystny.

Smiem jednak twierdzić, iż komedia „Fizycy” stanowi w twórczości Dürrenmatta bardzo wyraźny krok naprzód. Tematycznie i fakturalnie. Owszem, już od czasów „Wizyty starszej pani” Dürrenmatt jest znany z tego, że chwytła za sondę, by zgłębiać najistotniejsze problemy wszech czasów na użytek współczesności. Na czym tedy polega obecny postęp jego pisarstwa?

Wiadomo, cały potencjał dobra i zła natury ludzkiej zbadal już Dostojewski, genialny protoplasta rodu Faulknerów, Camusów, Dürrenmattów i wielu innych. Lecz Dostojewski czynił swoje dociekania przede wszystkim w planie psychologicznym, podczas gdy pisarze współcześni biorą pod obserwację, rzecz by można, największe obszary instytucjonalne, wraz z wynikającymi z ich współczesnego ukształtowania wnioskami filozoficznymi. Otóż uznana powszechnie za arcydzieło „Wizyta starszej pani” frapowała nas jako wielka metafora ukazująca totalną gotowość społeczności do akceptacji, w pewnym uwarunkowaniu, zbrodni, które jej służą. Jednakże problem jest tutaj jeszcze mocno wmontowany w psychoanalizę (kontrola hamulców moralnych w naturze człowieka). W późniejszym „Franku V — operze bankierskiej” kwalifikuje Dürrenmatt bez wszelkiej żenady uznaną oficjalnie instytucję — jako przedsięwzięcie gangsterskie. Przy formie, w której to robi, jest to dużo, na pewno bardzo dużo, metafora sięga dalej niż w Brechta. Ale można pójść jeszcze dalej. Można zdyskwalifikować cały gmach cywilizacji. Oczywiście nie jest to ugor literacki — brali się do tego problemu i inni, przede wszystkim niesforny Jean Jacques, Ale Rousseau kwestionował sens cywilizacji, podczas gdy Dürrenmatt — jej sensowność (nawiasem mówiąc, czyż to nie zabawne, że obydwa najsilniejsze ataki na cywilizację przypuścili Szwajcarzy, dzieci kraju, gdzie cywilizacja jest bodaj najmniej narażona na ekscesy).

Dürrenmatt już gdzieś w ostatnich latach czterdziestych naszego tragicz-

ego stulecia miał na pieńku z cywilizacją, czemu dał wyraz w „Romulusie Wielkim”. Zramolowały, pasywnie do brotliwy cesarz Romulus dostrzega tam przyczynę upadku Imperium Rzymskiego w przerostach cywilizacyjnych (Monteskiusz wyłożył to w swoim czasie naukowo). Sądzi, iż przydałoby się cofnąć świat — który się wówczas liczył — do uzdrawiającej ery prymitywizmu, misję tę mogą spełnić Germanowie. Abstrahując od zaskoczenia, jakim jest dla nas po okupacyjnych próbach „nowego ładu” ten tok myśli poczciwca Romulusa, trzeba stwierdzić, iż cała sprawa została ujęta w owym wczesnym popularnym utworze przekornie i nazbyt komediowo, trochę à la „Piękna Helena”...

Co innego „Fizycy”. Autor zmętniał, Szwajcaria zorientowała się, że już nie o to idzie, kto będzie rządził globem ziemskim, lecz o to, by ten glob w ogóle nadal istniał.

Sztuka zajmuje się aktualną sytuacją ziemskiego świata. Sytuacja jest paradoksalna — dla tego świata i dla „fizyków” (traktując termin metaforycznie). To, co robili dla dobra ludzkości, grozi jej zagładą, zamieniając świat w dom wariatów. Siostry: Dorothea Moser, Irena Straub i Monika Stettler kochały — respective: Newtona, Einsteina i Möbiusa, kochały naukę, poznały jej tajemnice i musiały przeto zginąć. Tak wygląda sytuacja ludzkości widzianej od lepszej strony, ludzkości miłującej postęp — może ona stać się ofiarą ludzkości ukazanej od złej strony. Jest przecie w sztuce Doktor Matylda von Zahnd, uosabiająca tych, co obchodzą się z nauką „jak alfons z dziwką. Chęć ją wykorzystać” w służbie wszechświatowego, wszechpotężnego trustu (traktując termin znów metaforycznie). Wszak im się też okazuje „król Salomon”!

Co się więc stało z ideałami ludzkości? Wielki król Salomon, pozostawiając król twórca psalmów, odrzucił swój purpurowy płaszcz, nagi i śmierzący siedzi w kukli, jako biedny król, piewca prawdy... Ludzkość, która zdobywa kosmos, nie uporządkowała jeszcze swego życia na ziemi.

Tylko tani optymizm polega na ukrywaniu groźnej sytuacji. Dürrenmatt nie uprawia tandety literackiej. Sytuacja jest krytyczna: dobro przechodzi w zło. Co mamy do wyboru? Bombę atomową lub wstrzymanie tego zgubnego procesu? Nikt nie wybierze bomby atomowej, zatem trzeba wstrzymać ów proces przechodzenia dobra w zło. Czy to znaczy wstrzymać postęp? Nonsens. Niech sobie „fizycy” odejdą w finale sztuki do swoich cel, odprawiając pokutę za grzechy niezawinione, jest to raczej rozrachunek Dürrenmatta z obecną paradoksalną sytuacją ludzkości, uwypuklenie paradoksu. Bo skądinąd autor powiedział dobitnie: „Co raz zostało pomyślane, nie może już być cofnięte”. Więcej — „Wszystko, co jest dostępne rozumowi, musi zostać kiedyś pomyślane. Teraz albo w przyszłości”.

Jak więc zrobić, by dobro nie przechodziło w zło? Dürrenmatt nie daje odpowiedzi. Nikt jeszcze nie znalazł środka na to. Jedno jest jasne: trzeba odłożyć broń. Zresztą „to, co dotyczy wszystkich ludzi, może być rozwiązane tylko przez wszystkich ludzi”.

Prostactwem nad prostactwem byłoby podkładanie pod sztukę Dürrenmatta recepty. Czy nie słuszniej będzie scharakteryzować postawę autora zdaniem wyjętym z tekstu jednego z jego własnych odczytów:

„Świat (innymi słowy scena, która ów świat oznacza) jest dla mnie czymś niesamowitym, zagadkowym spłotem nieszczęść, który należy przyjąć, lecz przed którym nie wolno kapitulować. Świat przetrasta człowieka, nieuchronnie posiada więc groźne cechy — rozpatrywane z zewnątrz nie byłyby tak groźne — nie mam jednak prawa ani możliwości umieszczenia na zewnątrz samego siebie”.

Sądzę, że Dürrenmatt zajął w swym pisarstwie dość wyraźnie pozycję bojową.

Ale przejdźmy z kolei do faktury sztuki. „Fizycy” są wielką metaforą — każdy to wie. Chciałoby się

jednak, by wszyscy widzowie potrafili docenić nadzwyczajną zręczność, z jaką Dürrenmatt metaforą operuje, rozpracowując ją w planie groteski tak, że wydobywane z niej elementy, czy to komiczne, czy tragiczne, oddziałują potężnie na widownię. Autor „Fizyków”, dramaturg-intelektualista drugiej połowy naszego stulecia, odkrył chyba sekret właściwej techniki nowoczesnego pisarstwa scenicznego. Jest to swoisty gatunek techniki mieszanej, do której ten i ów recenzent musi się jeszcze przyzwyczajać. *Inde irae.*

Przedstawienie lubelskie? Uważam je za zrobione bardzo mądrze i pleciołowicie. Po tym, na razie lapidarnym, stwierdzeniu pozwolę sobie powiedzieć z miejsca, co mi nie trafile do przekonania.

Otóż właśnie „prolog” — zapewne przedmiot dumy reżyserskiej. Rozumiem, że jest rzeczą bardzo kuszącą dla reżysera kazać wygłosić przed kurtyną dürrenmattowskie 21 punktów w związku z „Fizykami” i na domiar pełną stroną *didascaliiów* sprzed i aktu. To nader widomy sposób współtworzenia sztuki. Tylko czy słuszny? Dürrenmatt należy do autorów, którzy wiedzą, czego chcą. Gdyby chciał dodatkowo oświecić swoich widzów punktami i *didascaliami*, potrafiłby sam ująć je w prolog lub rozłożyć na głosy w toku akcji. *Didascalia* i punkty są pomocami artystycznymi dla reżysera i aktorów\*. Zresztą widz nie przyświ sobie trudnej treści punktów ze słuchu. Czy jest więc konieczne, by uroczą Teresa Mikołajczuk odbywała spacer tam i z powrotem, wzdłuż rampy, wlokąc za sobą ze sztuczną miną pedantki długie, aforystyczny tekst — skoro i tak nikt nie uwierzy, że niedawna załotna modelka Hela z „Królowej Przedmieścia” czyta... Hegla. Tym mniej wydaje mi się potrzebne wkraczanie Narratorki na scenę między unieruchomione postacie. Wielka jest siła woluntaryzmu niektórych widzów, takim wszystkie powyższe zachody reżyserskie nie przeszkodzą patrzeć na „Fizyków”, jak na sensacyjną sztukę kryminalną. Zresztą jest to sztuka sensacyjna i kryminalna, bo sensacyjne i kryminalne są w rzeczywistości sprawy, które ukazuje.

Niech mi wybaczy te skromne uwagi reżyser lubelskich „Fizyków”, Jerzy Ukleja, którego talent i wiedza ciężką się powszechnym, zasłużonym uznaniem.

Stolce wojewódzkie mają pewien kompleks: raz po raz mówi się o spektaklu — „jest lepszy niż w Warszawie”. *De facto* to i owo może być trochę lepsze, to i owo trochę gorsze. Wystarczy więc chyba powiedzieć: „U nas też jest dobrze”. Na swój własny sposób. Co dobrego rejestruje widz w lubelskiej realizacji „Fizyków”? Przede wszystkim frapuje go dekoracja (również Jerzego Ukleja) pomysłana jako kaplica żałobna, znakomite tło dla makabrycznej groteski. Na tym tle z dużym kunsztem zaprezentowała postać psychiatry Matyldy von Zahnd Eleonora Ossowska. W przeciwieństwie do totalnych metafor scenicznych wielu autorów współczesnych, metafory Dürrenmatta obrastają ciałem, w którym pulsuje żywa krew. Matylda Ossowskiej jest lekarką z krwi i kości. Ossowska uchyla trochę przybicie dopiero w kwestii: „Król Salomon? Jego królewską mocą zarządził mord?” Dopiero w jej końcowej scenie ukazuje się w pełni „metaforyczne” oblicze Matyldy von Zahnd. Dlatego też wstrząsają widzem z taką siłą słowa: „Mój trust będzie panował, zdobędzie kraje, kontynenty, złupi cały system słoneczny, sięgnie aż do mgławicy Andromedy!”.

Jeszcze bardziej ludzka, bo od początku do końca, jest w sztuce postać fizyka Möbiusa. Tę jej ludzkość potrafił wydobyć z roli Zbigniew Czeski, aktor dotychczas stylizujący się na *fin de siècle*. Prawdziwe ukazanie konfliktu moralnego fizyka należy uznać za niemal osiągnięcie

\* Co innego wydobyć *didascaliiów* na jaw w „Chwałebnym Zmartwychwstaniu”, dające przemożny efekt komiczny.

zarówno aktora, jak reżysera. Także i jednocześnie umiar w psychologicznym traktowaniu postaci, bo „Fizycy”, mimo swych ludzkich konkretności, są jednak sztuką nie psychologiczną, lecz metaforyczną, sztuką nie o poszczególnych ludziach-fizykach i ich właściwej postawie wobec świata, ale sztuką o sytuacji ludzkości, która dopuściła do zamiany dobra w zło. Kulminacyjnym punktem scenicznego działania Czeskiego był niewątpliwie „hymn kosmonautów”. Natomiast scena „miłosna” z Moniką wypadła blade, zresztą w samym tekście sztuki ten *passus* jest z pewnością funkcjonalny, lecz mniej interesujący i nie daje wielkiego pola do popisu Lucynie Sucheckiej, którą Lublin docenił w kilku poprzedzających rolach. Trudno było poza tym Czeskiemu udźwignąć brzemień geniuszu odkrywcy „systemu wszelkich możliwych odkryć”.

Dwaj inni „fizycy”: Georg Beutler i Henryk Ernesti — byli potrzebni Dürrenmattowi raczej jako marionetki obrazujące uzależnienie dzisiejszego naukowca — od polityki mocarstwowej. Jednak znakomity dramaturg, który nie wycina postaci z papieru, znalazł sposób, by zainteresować widza swymi alegoriami — ucharakteryzował Beutlera i Ernestiego na Newtona i Einsteina. Dało to zarazem w treści wątek ciągłości nauki. Zręcznie wykorzystał ułatwienie doświadczony aktor Jerzy Fitio, grający „Einsteina” z precyzją imitacyjną, a Czarusz Chrapkiewicz, traktując maskę „Newtona” z konsekwentną ironią, zasygnalizował trafnie późniejszą przemianę w agenta wywiadu.

Do najlepiej zrobionych scen należy wizyta ex-rodziny Möbiusa, wraz z nowym jej ojcem. Ludzka była Nina Czerska jako rozwiedziona małżonka Lina Möbius, 2<sup>o</sup> voto Rose, zaś Tytus Wilski wręcz osiągnął rekord wyrazistości w małym tekście podanym oszczędnie, lecz celnymi środkami. Troje dzieci Möbiusów: Tadeusz Kuduk i dwa razy XXX — dopełniło dziełnie efektu nielatwej sceny.

Martę Boll, przełożoną pielęgniarek, widziałam w dwóch wcieleniach. Obydwie aktorki są nowymi siłami Teatru Osterwy. Ludwina Nowicka, bardzo wierna *didascaliiom* Dürrenmatta, stworzyła postać „o stanowczym wyglądzie”. Elżbieta Jagielska zafascynowała widzów zagadkowym spojrzeniem ni to pielęgniarki trochę zarządzonej obłędem pacjentów, ni to zafanej funkcjonariuszki zakładu, którą Doktor Matylda von Zahnd wtajemnicza w swoje szaleńcze plany.

Zamerykanizowanych nieco na modłę filmową policjantów (Zygmunt Fok i Stanisław Stojko) oraz lekarza sądowego (Tadeusz Bourdo) pewno rozmyślnie „wmontował” reżyser w tło, tylko Janusz Cywiński był może trochę zanadto okay jako inspektor Voss.

Wreszcie „bokserzy”, z Uve Sieversem na czele (Ludwik Paczyński), powiedzieli swymi postaciami tyle, ile ma powiedzieć postać drugoplanowa w dobrze zrobionej sztuce, bez naruszenia właściwych proporcji. Opracowanie muzyczne Ryszarda Schreitera utrzymywało widza w odpowiednim nastroju.

Przypuszczam, że w sumie autor nie miałby nic do zarzucenia reżyserowi, oprócz chyba owego „prologu”, który ośmieliłam się samozwańczo wytknąć.

## ZYGMUNT MIKULSKI

### Stare ulice

Jeszcze czasem na łańcuchu noga, jeśli szwec. I strzałka w oficyne. Kraj odnaleziony, Arles van Gogha, gdzie fortepian to jest jeszcze

[szpincet.

Stary walc się przyplął do ścian [bluszczem, że nie straci wicher, ni ulewa. Stoją drzewa i w kaluży lustrze wiszą skalkowane krzywo drzewa.

Czas, jak habci zniszczony imionnik przewiązany wstążką kiedyś żółta. Na zepsutej przadmięcia harmonii jesień gra nie bardzo czysty półton.

Nie za bardzo, nie za dużo, [nie za jasno, zwykle życie od furtki do środy. Księżyc — martwa notarialna własność świeci bez wydatków i dochodów.

Noc jedynie — z fin de siècle'u dama, kurtyzana lotrów i poetów idzie i na zatrzaśniętych bramach stawia kocie oczy z kabaretu.

## JERZY KSIĘSKI

### W białym parku

W białym parku kosztowne skry nanizane na trzask gałęzi, w białym parku powietrze drzy, w białym parku lodowe sny zropzczone jak pies na uwieźl.

Miłość idzie ze mną przez park; Ty i ja... ja i ty — Tam na lawce... czy to nie my? Kolorowy szept twoich warg — Już się znamy trzynaście dni, — Już cię Kocham od tyłu lat.

W środku drzewa wlewiórka śpi. Drzewo trzaska od mrozu. Zmlerzech już nadciąga gdzieś spoza wież, w białym parku jak w środku wiersza tyle uczuć ze sobą się mieszają...

Jak szczęśliwe dzieciństwo dym pachnie z komina. A ty jesteś jedna, jedyna taka znana, nieznana, wciąż inna... Szkoda tylko, że słówek wyjechał. Cóż, wyjechał — bo w parku zima.



czyli pojawiać się coraz rzadziej kształtujące i ważne dla rozwoju kulturalnego terenu dyskusje, coraz częściej zaś niewybredne historyjki, anegdotki i dykteryjki. W roku 1960 na szpaltach kieleckiego „Magazynu Niedzielnego” czytałem, że „jak długo gonimy za kooletą, aż się przewróci”. Dowiedziałem się również — dzięki tej samej gazecie — że „zaczęć z miodym dziewczęciem jest równie trudno jak skończyć z mężatką”. Można było oczywiście pokławić głowę nad dojrzałością seksualną sędziwych redaktorów „Magazynu” i skończyć... lekturę, wzruszając ramionami.

Okres, o którym mowa, wymagał raczej innej dojrzałości: intelektualnej, ideowej, społecznej. Wymagał wrażliwości estetycznej, nade wszystko zaś odpowiedzialności. Ziarna zasiane przed kilka laty — dziś wydają owoce. Nie możemy już wprawdzie, przy końcu roku 1963, znaleźć w dodatkach tygodniowych pornograficznych zdjęć, niewybrednych, niemiłych, obrażających dowcipów. Są natomiast Michałki, kryminały, wiadomości usłyszane na kuchennych schodach. Nie są jednak na zasadzie materiałów głównych, znajdują się na stronicach raczej ostatnich, nie wadzą, za to uatrakcyjniają lekturę. Niechaj więc sobie będą, byle by w miarę i bez niezdrowego dreszczyka. Nie na tym polega w tej chwili problem.

Polega zaś na tym, że nasze tygodniowe dodatki bardzo niekonsekwentnie wykorzystują wszystkie zasadnicze możliwości (w zakresie udziału w upowszechnianiu kultury). Owe samodzielne dyskusje, odważne stawianie postulatów, popieranie społecznego ruchu kulturalnego traktowane jest przez redaktorów niejednego dodatku jako — o paradoksie! — sprawy nie najbardziej ważne. Powstał obraz istotnie paradoksalny: centralne i nie tylko centralne czasopisma społeczno-kulturalne zajmują się codziennymi sprawami kultury, problematyką kulturalno-masową, tygodniowe dodatki zaś ukazujące się w końcu jako część składowa dzienników wojewódzkich, więc trafiające do czytelnika masowego, działacza powiatowego i wiejskiego, często — gęsto nie raczą zniżyć się, by wejść przez drzwi gromadzkiej świetlicy. Nie warto oczywiście przesadzać. Nie wszędzie tak się dzieje. Sygnalizuję jednak zjawisko, które istnieje, chorobę, która — jak każda choroba — jest nie tylko wtedy groźna, gdy przybierze rozmiary epidemii.

„Magazyn”, „Gazety Białostockiej”, „Magazyn Niedzielnego” kieleckiego „Słowa Ludu”, „Kultura i Życie” dodatek lubelskiego „Sztandaru Ludu” i „Widnokrąg”, „Nowin Rzeszowskich” ukazują się na terenie mającym określone związki socjologiczne, demograficzne, kulturowe i oczywiście społeczno-polityczne. Kształtuje się też — jak to wiadomo w ostatnich latach — jakaś wspólna koncepcja gospodarstwa dla tych czterech województw. Dla nich też ukazuje się „Kamena”. Można więc bez większej przesady powiedzieć, że wszystkie cztery wyszczególnione gazety ukazują się na podobnym w zasadzie terenie. Różnica między nimi powinna w moim przekonaniu polegać na różnicy wynikającej z faktu istnienia np. w Lublinie silniejszego środowiska piszących niż np. w Rzeszowie.

Dwa spośród interesujących nas tu dodatków przedstawiają się czytelnikowi jako magazyny, dwa inne jako tygodniowe wydawnictwa autonomiczne, integralnie wprawdzie związane ze swoimi dziennikami, ale też i oddzielone od nich specjalnym kształtem graficznym, numeracją, tytułem. Nie trzeba jednak mówić o dwóch różnych typach dodatków, ponieważ — lepiej lub gorzej — wszystkie one są w zasadzie poświęcone tematyce kulturalnej. Mogą więc i powinny być oceniane właśnie jako takie wydawnictwa. Nie inaczej. Problem tylko polega na tym, jak się dodatki tą tematyką zajmują.

Wyjaśnijmy sobie od razu, jak szeroko rozumieć pojęcie upowszechniania kultury. Otóż chodzi o całokształt pracy nad tym, by dzień powszedni zwykłego przeciętnego Polaka stawał się coraz mądrzejszy i kulturalniejszy. Chodzi w tym procesie zarówno o właściwy dobór dóbr kulturalnych, które mają być popularyzowane wśród społeczeństwa, jak i o zaproponowanie najlepszych metod pracy masowo-kulturalnej, a także o wszystkie inne propozycje, z którymi spotyka się człowiek na co dzień chcąc odpocząć, rozzerwać się, spędzić tzw. wolny od zajęć zawodowych własny czas.

Spyta ktoś: czy tym wszystkim winny zajmować się dodatki? I może tym

bardziej — tym wszystkim na raz. Nie o to oczywiście chodził. W miarę możliwości winny one naturalnie zajmować się jak największą liczbą spraw, jak najczęściej podsuwać czytelnikowi propozycje, zwłaszcza wtedy, gdy już sam tytuł skłania ku temu (magazyn). Głównie jednak chodzi o to, by dodatki zajmowały się sprawą w tym wypadku najważniejszą. Sprawą tą jest podnoszenie rangi kulturalnej Polski powiatowej i gromadzkiej. Walka z przeciwnościami istniejącymi na tej drodze i popularyzowanie ku powszechnemu użytkowi i pożytkowi dobrych, najlepszych doświadczeń. Bo doświadczeń tych jest rzeczywiście coraz więcej.

Najbardziej chyba konsekwentnie i przy tym ambitnie są w upowszechnianiu owych doświadczeń „Nowiny Rzeszowskie” ze swoim „Widnokręgiem”. W numerze z dnia 7 września czytałem w artykule pt. „W Jastkowicach wieczorem”: „Trzeba tylko zacząć zaraz, nie czekając, aż stanie dom ludowy, w którym rzędzą locum placówki kulturalne”. Właśnie „Widnokrąg” stosuje tę zasadę do siebie. W numerze z dnia 3 października pismo zamieściło artykuł omawiający pracę rejonowych ośrodków kultury w... Szczecińsku. Tak w Szczecińsku. Chodziło o to by przedstawić do doświadczenie odległego województwa pod rozważę działaczom Rzeszowszczyzny.

Tę problematykę nie znajdujemy, niestety, na lamach pozostałych dodatków. Wprawdzie w numerze z dnia 3 listopada lubelskie „Kultura i Życie” przypomina

## POWSZEDNIE UWAGI O NIEDZIELNYCH ŁAMACH

całemu województwu lubartowski eksperyment, ale są to zupełnie „fragmentaryczne obrachunki” i tak też ów artykuł się nazywa.

„Magazyn” białostocki ogłosił w ostatnich miesiącach cykl reportaży pod wspólnym tytułem „Rynek i cztery ulice”. Bardzo to oczywiście pożyteczna inicjatywa. Wszystkie te jednakże reportaże, z których niejedną czytało się z przyjemnością (lekki styl, logiczna narracja, jasny zakres tematyczny) grzeszyły jednakże pewną — wbrew oczywistym pozorom — bezproblemowością, a wnioski w nich zawarte przypominały jako żywo postulaty głoszone ex cathedra, a w każdym razie z dużej odległości. Reporter był najczęściej zaskoczony, że ojcowie miasteczka kategorycznie stwierdzali, iż „obecnie jest pojęcie emigracji z ich miasteczka do ośrodków przemysłowych” lub że „aktywizacja nie jest pustym sloganem”. Reportażysty postulowali np. „perspektywiczne plany porządkowania małych miast i osiedli” — zgoda nie zauważając ludzi, najważniejszych w końcu kapitalu, czynnika, który jest w stanie wyprzeć owe „perspektywiczne plany” i zmienić sytuację już dziś.

Reportaż jest również stałą pozycją kieleckiego „Magazynu”. Przeważnie jest to w piśmie pozycja czołowa. Ale i tu nie bardzo wiem, po przeczytaniu pewnej liczby kieleckich reportaży, jaką siłą ludzka dysponują poszczególne ośrodki kieleckie dla wyciągnięcia się z zaskórnia. Myślę, że właśnie takie ambitne i z rozmachem redagowane pismo tygodniowe, jakim jest kielecki „Magazyn”, winno być zdolne do ukazania tych ludzi; również w takim pożytecznym cyklu, jakim jest niewątpliwie „Tropem Tygodnia Twojego powiatu”, ograniczającym się, niestety, przede wszystkim do małej monografii gospodarstwa. Zwłaszcza, że kielecki „Magazyn” stał na takie humanistyczne reportaże. Ciekawe są na pewno kieleckie i sandomierskie zakłady, „maszyny i śrubki”. Po stokroc — wybaczenie mi truizm — ciekawszy jest człowiek. Jak zaś należy do wsi ludzie przewodzą swoim środowiskom w podnoszeniu rangi kulturalnej własnych miast, miasteczek, osiedli, wsi? O tym radbym przeczytać. W ostatnich kilku miesiącach takie właśnie reportaże zamieściło kilkakrotnie lubelskie „Kultura i Życie”. Odnaczają się one nierzadko eleganckim stylem, kulturalnym tonem, zawierają taktowne uwagi.

Czas zastanowić się, jak interesujące nas dodatki realizują miejscowe regionalne programy upowszechniania kultury, jak współdziałają z miejscowymi organami do spraw kultury, jak pokazują zalamywanie się polityki kulturalnej na swoim terenie. Chodzi o całokształt działalności publicystycznej pism, nie zaś tylko o reportaże.

Można od razu powiedzieć, że najbardziej konsekwentne są tu: rzeszowski „Widnokrąg” oraz lubelskie „Kultura i Życie”. Sprawy upowszechniania kultury, modelu kulturalnego, rozmowy z czytelnikami na tematy kulturalne — oto, co nie schodzi z lamów „Widnokręgu”.

Na lamach „Widnokręgu” pojawia się regularnie rzeczowa, udokumentowana publicystyka teatralna. Bez śliska się na stawianie autorytatywnych ocen, bez cenzurkowania teatru, gazeta jest propagatorem kultury

teatralnej na swoim terenie, organizacyjnym opiekunem teatru. Przypomina, że należy dołożyć starań, by hasło „Wies bliziej teatru”, realizowane z większym lub mniejszym powodzeniem w całym kraju, nie uległo w przyszłości w papierach.

Problematykę tę podejmuje również „Magazyn” białostocki, nie zadowalając się tym, że w akcji „Wies bliziej teatru” Białostoczczyna zajmuje pod względem liczbowym czołowe miejsce w kraju. Są tu bowiem większe znacznie możliwości działania. Są białe plamy, które trzeba jak najprędzej zamalować.

Nie podjął zaś tej problematyki w ostatnich miesiącach „Magazyn” kielecki. A powinien był podjąć. Na jego lamach ukazują się bowiem regularnie publikacje na tematy teatralne. Są to jednak z reguły recenzje z kolejnych premier teatru im. Stefana Żeromskiego.

Różnorodność tematyki znajduje się w „Kulturze i Życiu”. Celowo napisałem „KULTURZE, nie zaś PROBLEMATYKI”. Rzecz bowiem, niestety, w tym, że lubelski dodatek, redagowany bardzo kulturalnie, odznaczający się często ładnym językiem swych publikacji, równie często słyga się po powierzchwni zjawisk, sprawy amatorskiego tuhu artystycznego, działalności określonych instytucji pracy k. o., różnych przedsięwzięć kulturalnych, próbuje zatłwić tak jakos en passant.

Zdarza się też taki brak konsekwencji kieleckiemu „Magazynowi”. W numerze z dnia 28 września przeczytałem np., że „Magazyn” proponuje „ogólnowojezowe spotkanie przedstawicieli związków twórczych i organizacji społecznych, na którym opracowano by główne koncepcje pracy kulturalno - oświatowej w naczynym roku XX-lecia Polski Ludowej i 100 rocznicy urodzin Stefana Żeromskiego”. Nie słuszniejszego! W następnym jednak numerach już nie znalazłem wyraźnej kontynuacji tego dezideratu. Nie podjęto — choć przecież rozpoczęto — dyskusji na ten temat. Nie wyzyskano okazji dla przeprowadzenia poważnej kampanii publicystycznej. Na marginesie zresztą zmuszony jestem z przykrością dodać, że artykuł, o którym wspominałem, nie powstał pod piórem publicysty „Magazynu”. Redakcja otrzymała go z Agencji Robotniczej. Dotyczył wielkich dysproporcji w rozwoju kulturalnym poszczególnych powiatów. Kielecka redakcja ten artykuł — jak to powiadają — „uterowała”. Dodała zwłaszcza postulat zwolnienia ogólnowojezowskiego spotkania. I wszystko byłoby w zupełnym porządku, gdyby redakcja uszanowała prawa autorskie. Artykuł jednak podpisano: „Magazyn”. Ze niby redakcyjny. Jego autorem byłem ja. Ponieważ to i owo dodano, nie należało zostawiać mego nazwiska, z pewnością. Ale dobre obyczaje nakazywały przynajmniej napisać, że wg „Agencji Robotniczej”, czy też „wg B. H.” Jak sądzić?

4

Nasze tygodniowe dodatki mogłyby i powinny wykonać poważne zadanie w zakresie odzwierciedlania potrzeb kulturalnych miejscowego społeczeństwa, mogłyby — naturalnie, właściwymi sobie środkami — pokazać sytuację w dziedzinie recepcji i percepcji dóbr kulturalnych w środowiskach małych miast i wsi. Wiemy, jak bardzo politycy kulturalni i działacze narzekają na brak rezultatów badań socjologicznych i psychologicznych dla potrzeb upowszechniania kultury. Nie wiadomo przecież, jak w rzeczywistości kształtują się potrzeby poszczególnych środowisk w zakresie kultury. Co najwyżej — można się tego i owego domyślać. Pewne wskazówki dają oczywiście liczby, popyt na określone tytuły. Ale nie dają one odpowiedzi na pytanie: dlaczego właśnie to?

Rzeszowski „Widnokrąg”, ogłosił krytyczny artykuł o klubach „Ruchu” na wsi. Artykuł doczekał się polemiki w dwa tygodnie później. I na tym koniec. Ciekawe byłyby głosy samych chłopów na ten temat. Tym bardziej, że wielu — zwłaszcza stołecznych — publicystów uważa kluby książki i prasy na wsi za przedsięwzięcie wyjątkowo udane, słuszne, celowe. Więc jak z tym w końcu jest?

Ze sprawą tą wiąże się społeczny ruch kulturalny. Od tego, jaka jest aktualnie jego sytuacja na określonym terenie, jak się on rozwija, jakim poparciem społeczeństwa cieszy się, w jakich formach na danym terenie się ukształtował — zależy w prostej linii aktywność społeczeństwa. I nie tylko społeczeństwa. Te problemy stoją w centrum zainteresowania naszych dodatków całkiem sporadycznie, a zwłaszcza fragmentarycznie. Jeden artykuł o czynach społecznych w dodatku lubelskim, dwie — trzy reprezentacje społecznych muzeów w dodatku białostockim — i na tym koniec. A przecież właśnie w województwie białostockim ze społecznym ruchem kulturalnym jest całkiem źle. Jest bardzo mało stowarzyszeń, a te, które istnieją, bardzo ograniczony mają zasięg. Dlaczego?

5

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że oprócz dodatków tygodniowych również codzienne wydania dzienników winny stale i systematycznie zamieszczać artykuły, felietony, reportaże poświęcone problematyce kulturalnej. Zwłaszcza te, które dotyczą bieżących wydarzeń. Tygodniowy dodatek zaś winien być po prostu wypadkową działalności gazety. Winien — jak to podkreśliłem na początku — być przeznac-

zony na prowadzenie długotrwałych dyskusji, na inicjowanie i kontynuowanie kampanii publicystycznych o charakterze bardziej ogólnym. To jest przecież logiczne. Dlatego pewne zdawienie wywołuje fakt drukowania na lamach niektórych dodatków recenzji z kolejnych premier miejscowych teatrów. W ten sposób ogolona się codzienne wydania gazet z aktualnych i twórczych materiałów kulturalnych, traktując je wszystkie jako teksty dotyczące spraw... niedzielnych. Przypomina to jako żywo świątecznego eleganta, spacerującego w dzień powszedni w brudnej koszuli.

Oto np. jak rysuje się tu sprawa książki „Magazyn” kielecki drukuje — zresztą systematycznie — krótkie i treściwe recenzje z najnowszych wydawnictw, wzbogacając je oryginalnymi cytacjami. Jest to oczywiście dobry pomysł — choć cytaty. Nie zawsze może się one — choć rubryka nosi tytuł „Cytaty mówią o książce” — nagłęsz, ale to w końcu sprawa gustu. Główny problem polega zaś na tym, że są to materiały par excellence codzienne. W „Magazynie” natomiast — wydaniu niedzielnym — radbym przeczytać coś o literaturze i jej upowszechnianiu, o twórczości poszczególnych pisarzy, o zainteresowaniu określonymi dziełami, o społecznej — wychowawczej funkcji słowa drukowanego. Radbym poznać problemy czytelnictwa i bibliotekarstwa w danym województwie, problemy — jak to ogólnie w Polsce wiadomo — bardzo trudne i skomplikowane. Dla tygodniowego dodatku kulturalnego to przecież temat nie tylko z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy.

Dlatego warto pochwalić rzeszowski „Widnokrąg” za jego stały felieton literacki i teoretyczny wprawdzie z różnym — jak mój się wydaje — powodzeniem, ale uparcie i wytrwale. Innym dodatkom — chwając je za tę lub ową interesującą pozycję o literaturze — warto życzyć systematyczności w ich publikowaniu. Zie bowiem, jeśli taki esej, jak mówiący o regionalizmie w twórczości Stefana Żeromskiego („Magazyn” kielecki z dnia 9.XI), jest jedyną tego rodzaju publikacją na przestrzeni miesięcy.

Z owego charakteru tygodniowej wypadkowej wynika dla dodatków bardzo poważna i odpowiedzialna konieczność nie ograniczania się do postulatów organizacyjno - strukturalnych. Nie może dziś wystarczać nawoływanie do otwierania nowych placówek k. o., do czynu, do zwiększania ilości. To jest oczywiście punkt wyjścia, ale to nigdy nie może być punktem dojścia. Zadaniem publicystyki — dziś, po XIII Plenum KC PZPR — jest wprowadzić jasność do pojęcia treści kultury. Zadanie to precyzuje się i dynamizuje, gdy sobie uświadomimy, że rok 1964 to XX-lecie Polski Ludowej. Będzie to również — w ramach obchodów 100-lecia Państwa Polskiego — Rok Ziemi Lubelskiej. Nie może więc zadowolony zamieszczenie w „Kulturze i Życiu” krótkiego artykułu wyliczającego, jakie to imprezy odbędą się na Ziemi PKWN w jubileuszowym roku. To akurat nadawało się do codziennego wydania „Sztandaru Ludu”. W dodatku natomiast radbym przeczytać, jakie — zupełnie konkretnie — ideowe, estetyczne, intelektualne wreszcie — oblicze pokazuje Lubelszczyzna. Z jakim dorobkiem kulturalnym powita ten Rok.

Nie może być dziś obojętne, na jakiej zasadzie kształtują się w terenie ośrodki kulturo - twórcze. Jakiego typu inicjatywy i przedsięwzięcia są preferowane.

Dodatki nasze podejmują tę problematykę sporadycznie i jakoś tak od niechcenia. Poza kilkoma ogólnymi uwagami na temat konieczności walki o właściwe treści w pracy k. o. — uwagami zamieszczonymi na lamach dodatków z okazji rozpoczynającego się nowego sezonu kulturalnego — nie takiego nie da się przeczytać.

6

Nie zamierzam bynajmniej wystawiać cenzurek poszczególnym dodatkom. Wszystkie cztery dodatki redagowane są z myślą o tym, by były jak najlepsze. Budzi uznanie mnogość tekstów terenowych w „Magazynie” białostockim, zdumiewa rozmach, z jakim redagowany jest „Magazyn” kielecki, zniewala kulturalny ton „Kultury i Życia”, wywołuje szacunek ambicja rzeszowskiego „Widnokręgu”.

Każdy spośród czterech dodatków jest na drodze do ulepszenia swych tekstów, upiększenia języka, wzbogacenia szaty graficznej. To bardzo dobrze. Zie jednak bardzo, że nie zawsze ich redaktorzy pamiętają o właściwym zakresie tematycznym i problemowym.

Zadaniem moim było przypomnieć im o tym. Warto wziąć się do uzupełnienia braków. „Jeszcze nie jest za późno” — jak pisał rzeszowski „Widnokrąg”, przy innej zresztą okazji.

Bolesław Bartoszewicz



## Siedem przykazań dla tych co przyszli

W ŚRODOWISKU, z którego wielu z was przyszło na studia, w środowisku często małym, miasteczkowym, półchłopskim, półkieralnym, zakompleksionym społecznie, studia uchodzą za pierwszy i najważniejszy stopień na drodze do „wybicia się”. Są czymś, co daje pieniądze, przewagę i poważanie — trzy największe świętości współczesnego małego miasteczka czy wsi. Pamiętaj, gdy przed sześćdziesiąt latami przyjechałem zdobywać tutaj owe trzy wymarzone „P”, zmuszony byłem niezwłocznie przeobrazić hierarchię wartości — okazało się, że w dużym mieście, w wielotysięcznym ośrodku studenckim jestem notowany, jeśli nie najniżej, to bardzo blisko tzw. zera społecznego. Toteż czapkę studencką, którą z dumą włożyłem na głowę przed wyjazdem „do szkoły”, szybko zdegradowałem do roli glanczmaty i wtopiłem się w szarą, ciężko przestraszoną masę pierwszolatków. Po paru tygodniach zauważyłem jednak, że ta na pozór jednolita, niczym nie różniąca się masa studencka, posiada szereg grup, podlit, niczym nie różniących się stażem, rangą społeczną, naukową, towarzyską etc. I muszę przyznać, że poczułem się na samym dole tej drabiny, co na pewno nie dodało mi pewności siebie.

Takich jak ja — „półchłopków” w spodniach „na 28 w mankietach” było sporo, ale przytoczyli nas synowie lekarzy, inżynierów, adwokatów, nauczycieli, twórcy wyraźnie odcinającą się „śmietankę” studencką. Choć przyszliśmy na studia jednocześnie, zajęli pozycję wyjściową, tj. wylotową (ze studiów!) — zapelnili kawiarnie, restauracje, zaczęli epatować, podrywać, błyszczeć.

Stąd pierwszym niebezpieczeństwem, jakie zagrozi twoim studiom na długo przed pierwszą w życiu sesją egzaminacyjną, jest naturalna chęć dorównania tamtym. Jeśli ci jednak nie zaimponowali, jeśli nie poszedłeś za urokami miasta i swobodą życia w dużym mieście, z dala od groźnej ojcowskiej prawicy — jesteś uratowany.

Druga groźba, to postępująca w miarę upływu czasu dewaluacja (w twoim pojęciu) rangi studiów. Na trzecim, czwartym roku uświadamisz sobie, że studia to właściwie nic specjalnego, żaden awans, bo obok ciebie są setki i tysiące takich jak ty kandydatów na magistrów. To osłabia upór, demobilizuje siły, a jednocześnie staje się sprawdzianem, czy przyszedłeś studiować dla chleba czy też z tzw. głębszej potrzeby.

Takich niebezpieczeństw jest wiele, trudno je przewidzieć, trudno je również generalizować. Każdy kierunek studiów, każde środowisko ma swoje indywidualne groźby i mielizny, na które wielu wpada mimo pobożnych życzeń i ostrzeżeń. Są jednak pewne ogólne, przeważnie sprawdzające się schematy z dziedziny taktyki studiów, będące owocem wieloletnich doświadczeń i obserwacji, o których warto pamiętać.

1. Studia to mimo wszystko pięć lat wyciętych z życiorysu. Tu decyduje upór i siła woli, a także osławione myślenie.

2. Pilnie obserwuj życie całego środowiska studenckiego i staraj się czerpać ze wszystkich możliwości, jakie daje atmosfera kulturowa dużego ośrodka akademickiego.

3. Opanuj dobrze przynajmniej jeden język obcy, bo tego obecny system lektorałów nie może ci zapewnić.

4. Bierz czynny udział w życiu swojego środowiska, ale tak, by nie zawalić studiów.

5. Z pewnością posiadasz jakieś uzdolnienia, upodobania czy umiejętności. Dołóż wysiłku, aby je wykorzystać i „dorobić” kilka złotych do stypendium.

6. Wartość jakichkolwiek studiów nie polega na ilości włożonej wiedzy — raczej na rozwoju inteligencji ogólnej i poszerzeniu horyzontów myślowych. Nie zasklepiaj się więc w swojej specjalności lub, co gorsze — nie zrób z siebie kujona.

7. Umiejętność obcowania z ludźmi, to zaleta, której każdy ci poza zdrowości. To drugie nieoficjalne studia.

Wszystkie te przykazaania nie wyczerpują długiej listy nauk, jakie wyprowadzisz dopiero w trakcie studiów i sprawdzisz na sobie. To trzeba przeżyć i tylko od ciebie zależy, jak przeżyjesz.

Zyczliwy Henryk

# PONIEDZIE

LITERACKA  
GRUPA MŁODYCH  
ZIEMI KIELECKIEJ

ADA KOPCIŃSKA

## Tak podaną

Tak podaną mi wodę  
mogę w siebie jak w glebę  
znam samotność obszaru  
i ślad swój na płasku  
znam blask gwiazdy tak  
jasny

aby potem w kamień  
w czarny kamień — samotność  
znam smak od tej nocy  
w której bylam sama  
pierwsza noc — czułam wtedy  
powagę  
i ciszę.

Tak podaną mi woda  
gasi czasem język  
nałożona na palce  
kształtem jest nie wydmy.

— Wodę można więc przyjąć  
na swoim obszarze  
tak podana  
opisem będzie już powstania  
będzie ziarno w tej kropki  
z ziarna kielek  
lłście

— owoc jeszcze jest barwą  
która nie zebrana.

Tak podaną mi woda  
dla ciała religią  
i dla ciała pragnieniem.

## Na pozór — dom

Na pozór stoi na prawdziwym  
[gruncie]  
prawdziwe ślany  
pod stopami również  
ale w tym wszystkim zapowiedź  
[Sahary]  
choć przez nią kroki.

Zdumiewa nas że w dni tak suche  
po ścianie pełnie zieleni  
i aż w oczy  
trudno spamiętać kolory bo zaraz  
odziera jedno drugie z tej zdolności  
i potrafię długo potem czytać  
patrząc na twarz twą  
albo nawet w dłonie  
i tylko cęplio  
tego na pustyni nie braknie

— wysusza wargi  
oczy  
całe ciało  
bez potu wolno martwieje  
i w ścianie obrazem.

Na pozór przecieży prawdziwe  
[mieszkanie].

teriałów i miernictwa warsztatowego  
— w niezbędne maszyny i urządzenia. Wydatnie pomogły w tym samorządy FSC, WSK i KFWM.

Współpraca Towarzystwa Przyjaciół WSI z władzami partyjnymi i państwowymi, organizacjami technicznymi i gospodarczymi staje się podstawowym czynnikiem niezwykle doniosłego dla Lubelszczyzny procesu przekształcania WSI w duży, nowoczesny ośrodek kształcenia kadr inżynierskich. Droga wiedzy przez powołanie Wyższej Szkoły Inżynierskiej typu dziennego. Najprawdopodobniej powstanie ona już w przyszłym roku akademickim. Celem ostatecznym kierownictwa WSI oraz władz wojewódzkich i miejskich a także szerokiego aktywu społecznego w planie dalszym jest utworzenie Politechniki Lubelskiej, która kształciłaby inżynierów niezbędnych do prawidłowego rozwoju Lubelszczyzny. W tym celu utworzono w Lublinie międzyuczelnianą komisję do spraw współdziałania z WSI celem niesienia jej pomocy kadrowej i w przygotowaniach organizacyjnych do utworzenia przyszłej Politechniki Lubelskiej. Na czele komisji stanął prof. dr Andrzej Waksmundzki z UMCS, a w skład jej weszli: mgr inż. Stanisław Podkowa — rektor WSI, prof. dr Janusz Haman z Wyższej Szkoły Rolniczej, prof. dr Janusz Tymowski — prorektor Politechniki Warszawskiej, Mieczysław Martyn — przewodniczący Prezydium MRN w Lublinie i mgr Stanisław Kuryka — prezes Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Powołanie ko-

MARIAN BARAN

## Dwa równania

W cieniu zakwitających dziewcząt  
można się opalić na brąz,  
ale ciszy nie będzie.  
Spłoszona przez lakome usta —  
przyczepnie pod latarnią,  
lub tam gdzie księżyc upadł  
zrwany garściami zakochanych.

W cieniu zakwitających dziewcząt  
można brnąć własnym gościem,  
można się zachodzić na śmierć  
i może być cisza jak pustka  
i można się potknąć o księżyc

[zrwany]

i upaść  
i poczuć na ustach smak idylli.  
A mówią,  
że dziewczyna jest jak życie.  
Jakże więc?

KONSTANTY TARNOWSKI

## Nadzieja

Otacza mnie dojrzałość lata  
odjeżdżająca drabiniastymi wozami  
i plusk wychudłej rzeki  
wysysanej promieniami słońca  
aż do białości mielin  
w czyhanu na srebrnotuskie życie  
gubię czas  
osładzany nadzieją zdobywcy  
potem  
mlaskanie nienasyconego jęzora  
sterta ości na białej serwecie  
niegościnnego stołu  
i gdzieś w stodole  
rękaw rozchełstanej koszuli  
ocierającej strugi cieknące po czole  
czerwony zachód słońca  
przyniesie znowu jutro

JAN GOLKA

## Odpowiedź

to splywa z czoła na oczy  
blednij

dwie białe dłonie ucięte w przegubie  
płatkami śniegu blask naftalinowy  
z powiek na stromość policzków  
ku zziębłym wargom  
białych ust białego zachwytu

to splywa technicznie lecających labędzi  
samym brzgiem egipskiego rytu  
z grobem w Sais  
gdzie Ozyrys rozdarty jak kartka

[papieru]

układa usta w bezruch  
malowany szronem powiadasz

[zachwytu]

lekuchno tykam tę nitkę pajęczą  
białego uśmiechu twej nieobecności  
wyciętej ze szkła i powietrza

a w twoim oku szybowiec  
na wierzchołku wiatru  
jak siwy włos  
to jaśniejsze to ciemniejsze  
bieleje w nie

kpij ze mnie

misji oznacza, że sprawy wyższej uczelni technicznej stały się problemem całego środowiska naukowego Lublina.

Coraz powszechniejsze zainteresowanie społeczeństwa losami WSI, coraz większa pomoc władz gwarantująca, że już w niedługim czasie szkoła przekształci się w Wyższą Szkołę Inżynierską, a w dalszej perspektywie — w Politechnikę Lubelską. Osiągnięcie tego celu dałoby miastu i województwu poważną szansę rozwoju. Zmieniłoby nie tylko geografię szkolnictwa, lecz także wywołałoby dobroczynny wpływ na szereg gałęzi gospodarki Lubelszczyzny. Dziesięcioletnie doświadczenia WSI, która mimo wielu niesprzyjających warunków dała krajowi 200 inżynierów — są argumentem mocno przemawiającym za wypełnieniem postulatu utworzenia w Lublinie studiów politechnicznych.

Romuald Karas

## W PERSPEKTYWIE POLITECHNIKA LUBELSKA

OBCHODZONY niedawno jubileusz X-lecia Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej w Lublinie stał się okazją do oceny działalności uczelni. Wydaje się, że jej rola polega przede wszystkim na zapoczątkowaniu pewnej inicjatywy: inicjatywy ugruntowania w Lublinie uczelni o kierunku technicznym. Dzięki temu typowo rolnicze, jedno z najbardziej zaniedbanych województw w Polsce dźwiga się do rangi regionu w pełni zainteresowanego rozwojem przemysłu.

Utworzenie WSI przerwało ze tradycje braku na Lubelszczyźnie własnych kadr technicznych, coraz bardziej potrzebnych w stale postępującym procesie uprzemysłowienia województwa. Fabryka Samochodów Ciężarowych, Wytwórnia Sprzetu Komunikacyjnego w Świdniku, Kraśnicka Fabryka Wyrobów Metalowych, Zakłady Wytwórcze Sprzetu Instalacyjnego w Poniatowej, wiele innych fabryk, przedsiębiorstw i instytucji cierpi od lat na brak dostatecznej ilości wykwalifikowanych kadr inżynierskich. W porównaniu z innymi województwami liczba inżynierów w zakładach przemysłowych jest u nas najniższa w Polsce. Taka sytuacja powoduje wiele trudności gospodarczych. Środkiem zaradczym, jedyne skutecznym, staje się dokształcanie kadr, gdyż żadna inna uczelnia — wobec deficytu ludzi z wyższym wykształceniem technicznym — nie mo-

że kształcić dostatecznej liczby fachowców dla naszego terenu. Powołanie do życia WSI miało na celu zaspokojenie palących potrzeb życia Lubelszczyzny.

Stale borykanie się uczelni z problemami lokalowymi poważnie hamowało przez parę lat rozwój pierwszej uczelni technicznej Lublina. Jednak dzięki poparciu władz partyjnych i państwowych WSI zyskuje coraz mocniejsze podstawy swej działalności. Przyznanie uczelni gmachu przy ul. J. Dąbrowskiego 13, gdzie znalazły pomieszczenia sale wykładowe i laboratoria oraz rektorat, zakończyło uciążliwy okres tułaczki personelu nauczającego i studentów. Stałe zabiegi o poszerzenie kierunków studiów o wydziały budowlany i elektryczny dają gwarancję właściwego rozwoju WSI.

Śledząc historię powstania i działalności WSI nie sposób nie dostrzec roli, jaką odegrał i odgrywa organizator i rektor uczelni — mgr inż. Stanisław Podkowa. Dzięki swojemu uporowi pokonał on dziesiątki trudności w zdobywaniu potrzebnych lokalów, funduszy, urządzeń i sprzętu. Ten świetny organizator umiał skupić wokół siebie liczne grono sympatyków uczelni, którzy dla większej skuteczności swych starań utworzyli Towarzystwo Przyjaciół WSI. Gdy jego prezesem został ówczesny I sekretarz KM PZPR w Lublinie — Mieczysław Martyn, Towarzystwo przeprowadziło liczne starania o poszerzenie kierunków studiów (budownictwo) i zorganizowanie nowych punktów konsultacyjnych (Kraśnik, Poniatowa). Dopomogło także w adaptowaniu budynku przy ul. Dąbrowskiego. Dzięki wciągnięciu przez Towarzystwo do pomocy zakładów pracy, wyposażono należycie laboratoria metaloznawstwa i obróbki cieplnej, chemii, elektroniki, obrabiarek, wytrzymałości ma-



# Kanalizacja gubi państwa i narody

**J**OZEF Czechowicz był wykwalifikowanym nauczycielem szkół specjalnych. Szkoły te przeznaczone były dla młodzieży niedorozwiniętej. Problem pedagogiki specjalnej pasjonował go przez szereg lat i w okresie studiów, jako nauczyciela, a potem kierownika szkoły specjalnej w Lublinie. Problemy, z którymi się zetknął w swej pracy nauczycielskiej, rozwinęły się w zainteresowania problemami nienormalności w ogóle i zaczęły rzutować na postanowienia napisania dzieła naukowego. Z biegiem czasu, kiedy zerwał z pracą nauczycielską i poświęcił się wyłącznie literaturze, chciał pisać dużą powieść, której bohaterami byłby wyłącznie ludzie nienormalni i upośledzeni. W związku z tym zbierał różne wydawnictwa i materiały, a głównie polował na książki pisane i wydawane przez maniaków i różnego typu niespełniaków.

Warunki wydawnicze czasów ówczesnych pozwalały każdemu, kto miał pieniądze na papier i druk, a chciał je zużytkować na wydawnictwa, drukować i rozpowszechniać różnego typu książki i broszury. Zdarzało się więc, że od czasu do czasu jakiś maniak puszczal w obieg napisaną przez siebie i wydaną drukiem książkę.

Poważne księgarnie nie przyjmowały takich wydawnictw do sprzedaży, ale w małych księgarenekach, takich, które sprzedawały różne kryminały, pozycje pornograficzne itp., a nie gardziły żadnym towarem, można było takie książki znaleźć.

Może najbardziej pospolicim zjawiskiem były zwykle grafomańskie pozycje, głównie wiersze. Wśród nich zdarzały się nawet obfite poematy. Nazwiska niektórych zamożnych grafomanów, wydających „nakładem własnym” były ogólnie znane. Stanowiły one materiał dla takich rubryk jak „camera obscura” w „Wiadomościach Literackich” i in. Rzadszym objawem maniactwa było wydawanie dzieł „naukowych”.

Z Czechowiczem zawarłem umowę, że wszystkie tego typu wydawnictwa, jakie wpadną mi w ręce, będę mu przekazywał. Do redakcji pisma, które redagowałem, często różni maniacy nadsyłali swe wydrukowane utwory, niekiedy z bardzo szumnymi dedykacjami.

Jeden z nich szczególnie utkwił mi w pamięci.

Pewnego dnia zjawił się w redakcji skromnie, ale schludnie ubrany czło-

wiek o zaferowanym wyglądzie. — Jestem inżynier Franciszek Romański — powiedział. — Właśnie napisałem i wydałem książkę, która w moim skromnym mniemaniu ma wielkie znaczenie dla przyszłości Polski i świata. Proszę pana redaktora o właściwe jej zrecenzowanie.

Książka nosiła tytuł: „Grabarze narodu i państwa polskiego w orzeczeniu ekonomii politycznej i wiedzy rolniczej”.

Tytuły poszczególnych rozdziałów były również niezwykle. Rozdział pierwszy — „Grabarze państw i narodów w wiekach starożytnych i czasach obecnych”. Rozdział drugi — „Grabarze państwa i narodu polskiego w czasach przedrozbiorowych i porozbiorowych”. Rozdział trzeci — „Grabarze narodu i państwa polskiego w obecnych czasach wolnościowych”. I wreszcie rozdział ostatni — „Samorząd lubelski jako grabarz narodu polskiego na ziemi lubelskiej”.

Epokowa ta książka została wydana w początkach 1933 roku.

Treść jej była następująca. Wszystko co żyje je i wydziela. Otóż wydzieliną naturalną odprowadzaną są rurami i marnowane bezpowrotnie, albo co gorsza zastępowane nawozami sztucznymi. Wtedy pokarm staje się bezwartościowy i człowiek degeneruje się. W końcu degeneracja osiąga szczyt i potężne państwa giną całkowicie.

Alle niestety rozwija się cywilizacja, a wraz z nią... kanalizacja. Wydzieliny naturalne odprowadzane są rurami i marnowane bezpowrotnie, albo co gorsza zastępowane nawozami sztucznymi. Wtedy pokarm staje się bezwartościowy i człowiek degeneruje się. W końcu degeneracja osiąga szczyt i potężne państwa giną całkowicie.

Z niezwykłą erudycją inż. Romański wskazywał na przykłady miasta Ur, Asyrii, Babilonii, Egiptu, Rzymu i na państwa współczesne. Zgubiła je bez reszty kanalizacja...

Franciszek Romański był współwłaścicielem domu na rynku w Lublinie (Nr 18 czy 19?) i z uzyskanych skromnych dochodów wydawał różne tego typu książki.

Czechowicz, że się tak wyrażę oszalał z zachwytu. Postanowił, że Romański będzie głównym bohaterem jego powieści. Snuł różne koncepcje i rzucał pomysły. Ale do napisania tej powieści nie doszło.

Może natknął się na wielkie preskody wynikające z psychologiczno-artystycznego uzasadnienia tak zwanej prawdy wewnętrznej postaci, a może były inne powody.

Wiem tylko, że w ciągu lat zebrał pokaźny „maniacki” księgozbiór, którego losów jak dotąd nie udało się ustalić, choć, jak wiadomo, część spuścizny po Czechowiczu błąka się u niektórych ludzi.

W. G.

# NOWE W ARCHITEKTURZE RADZIECKIEJ

IRENEUSZ JAN KAMIŃSKI

**N**IE tak dawno, bo w latach dwudziestych naszego stulecia myśli architektoniczno-urbanistyczna w Związku Radzieckim była równie rewolucyjna i awangardowa jak przemiany społeczne, które przyniósł nowy ustroj zapoczątkowany obaleniem carakiego feudalizmu. W kilka lat po Rewolucji powstała przeciw sformułowaniu teoretycznym i projektowi zrywającemu z rozpowszechnionym w carskiej Rosji neoromantyzmem czy neoklasycyzmem, a jednym z najwybitniejszych jest projekt „Palacu Pracy” autorstwa Wiesnina, uderzający logiką i architektoniczną strukturą, prostotą i oszczędnością, wprowadzający szeroko dziś stosowane szkło i geometryzowane podziały elewacji. Również do dzisiaj oddziaływają konsekwentnie koncepcje teoretyczne Malewicz, w których zawarł on swe poszukiwania nowych stosunków brył przestrzennych.

Niestety — ten rokujący optymistyczny nadzieje kierunek rozwoju radzieckiego budownictwa, adekwatny do zaleceń życia społeczeństwa o nowej strukturze — został odwołany i architekci powrócili do form tradycyjnych, pod każdym względem afunkcjonalnych w zmienionych warunkach. Eklektyzm formalny i estetyzm dąży w efekcie znane nam sylwety ogromnych masywów kamienia, obcych duchowi epoki, upstrzonych koronkami attyk wieńczących ściany opięte szeregami pilastrow.

Do dziś starsze pokolenie radzieckich architektów holduje przeszarżowanym kanonem architektonicznym, lecz nie oni decydują o kierunku i treści programu nakreślonego podczas pamiętnej „Narady Budownictwa”, której kontynuacją był II Zjazd Architektów Radzieckich w r. 1935. Wydała się wskazywana zacytowanie fragmentu pism powitalnego Rządu i KC KPZR skierowanego do Zjazdu! „... Należy pamiętać, że pękno budowli powstaje nie przez nagromadzenie nieczym nie uzasadnionych dekoracyjnych detali, czy nadbudówek w kształcie wież, kolumn i portyków zapożyczonych w sposób bezkrytyczny z dorobku przeszłości... Skromne i proste formy, połączające wyraz zewnętrzny, ekonomizację rozwiązań oraz troskę o wygodę użytkownika — oto podstawowe wyznaczniki architektury radzieckiej”. Nie ma potrzeby dodawać, że tym samym otworzył nową drogę dla nowoczesnej myśli architektoniczno-urbanistycznej.

Jednakże zerwanie z obowiązującą przez szereg lat koncepcją i wypracowanie odmiennego podejścia do określonych zagadnień napotykał zazwyczaj na przeszkodę tkwiącą korzeniami w przeszłości. Tym bardziej, że nowe wymaga rozwiązania złożonych problemów warunkujących wygodę i piękno codziennego życia społeczeństwa. Dowodem tego była objazdowa wystawa architektury ZSRR, którą gościliśmy w Lublinie w ubiegłym miesiącu; stanowiąc dobrą ilustrację istniejących trudności, umysłowa ona zarazem olbrzymie i dodatnie zmiany, które zachodzą w architekturze i urbanistyce radzieckiej, na przestrzeni ostatnich kilku lat.

Najbardziej wartościowe, współczesne w wyrazie osiągnięcia można zauważyć w

budownictwie użyteczności publicznej, w którego poszczególnych obiektach coraz częściej i śmiało odchodzi się od zasady osiowości i symetrii w kompozycji brył budynku, na rzecz różnorodnego, lecz i funkcjonalnego ich powiązania. W czołowe interesujących i zrealizowanych projektów warto wspomnieć o kompleksie moskiewskiego „Palacu Pionierów” rozłożonego na terenie 36 ha, u stóp Wzgórz Leninowskich, umiejętnie wkomponowanego w zieleni, odbijającą się w przeszłościach ścianach. Teatr omawianego Palacu Pionierów wprost zaskakuje prawe abstrakcyjną, lądową w formie płasko-rzeźbą umieszczoną nad występującym. Także nowoczesny dworzec autobusowy w Kijowie posiada „abstrakcyjną” dekorację ścienną ze stalowych prętów ułożonych w schemat linii autobusowych miasta.

Równie godna uwagi i współczesną realizacją jest moskiewski hotel „Młodość”, „mondrianowski” podziałach elewacji oraz zespoły wypoczynkowe na Krymie, a szczególnie obóz pionierski „Przybrany”, którego pawilony skonstruowano z żelbetonowych pali podtrzymujących kilka płaszczyzn kondygnacji organizujących przestrzeń, dostosowanych do rzeźby terenu i warunków klimatycznych. Gdy dodamy do tego ogólnie znany moskiewski Pałac Zjazdów, śmiało zaprojektowane kino „Rosja”, budynek Panoramy Bitwy pod Borodino i nowy rewiacyjny w pomysłach dworzec dla śmigłowców w Moskwie, bezpretensjonalny, o funkcjonalnych i rytmicznych podziałach ścian — otrzymamy kierunek poszukiwań i rozwiązań tworzącej praktyki współczesnych architektów radzieckich.

Bardziej tradycyjnie przedstawia się budownictwo mieszkaniowe, chociaż i w tej dziedzinie można zaobserwować znaczny postęp. Ekonomizacja budowania, skrupulatnie przestrzegana w radzieckiej gospodarce, w warunkach wznoszenia osiedli o stosunkowo skromnej architekturze, często pozbawionej balkonów, nie mówiąc o loggiach. W Moskwie, zamieszkałej w ub. roku przez 6.500.000 mieszkańców, wznoszone są budynki wysokie, osmio, dziewięcioletnie i czternastokondygnacyjne, co różnicowo je gabaryty ożywiają strukturę przestrzenną miast; w minionym okresie przeważała jednakowoż wysokość szeregowo usytuowanych budowli, monotonna pojmowa całego natłoku „archaicznych” dekoracji.

Kluczowym problemem związanym z budownictwem mieszkaniowym jest organizacja zakładów produkujących elementy prefabrykowane, których użycie obniża koszty i zwiększa tempo budowania. O rozmachu i skali przedsiębiorstw produkujących prefabrykaty mówią cyfry odnoszące się do zakładów w Moskwie i Leningradzie. Wielki, nowoczesny urządzenie leningradzki kombinat prefabrykacji opuszcza co miesiąc siedem pięciokondygnacyjnych domów, o 4-5 segmentach; znajdująca ponad 1500 pracowników, produkuje w tym samym okresie 15-19 pięcio-

(Dokończenie na str. 14)

# NIE SAMYM GROSZEM

(Dokończenie ze str. 2)

da, wskazuje na to przykład wielu ośrodków powiatowych województwa białostockiego. Ale w Łapach wygląda na to, że Zarząd Powiatowy ZMS zdaje się nie potrzebować pomocy doświadczonych działaczy kultury. Bo czym tłumaczyć na przykład stałą nieobecność przedstawicieli tej organizacji na posiedzeniach Komisji Koordynacyjnej?

Wielu kierowników powiatowych referatów kultury na zapytanie o działalność komisji bezradnie rozkłada ręce. — Współpraca z przedstawicielami zakładów pracy i instytucji jest jak najbardziej pożądana, ale, na miłość boską, niech do prac komisji koordynacyjnych delegują one ludzi mających jakie takie pojęcie o kulturze.

Żądanie to jest w pełni uzasadnione. Dochodzi bowiem do sytuacji w swej paradoksalności niekiedy humorystycznej. Oto w pewnym powiecie w czasie omawiania pomocy dla miejscowego zespołu amatorskiego jeden z członków komisji koordynacyjnej nie chciał się zgodzić na wystawienie „Niemców” Kruczkowskiego, motywując to zbyt wysokimi kosztami wystawienia „tej opery, w której występuje przeszło 100-osobowy chór”.

W powiecie Wysokie Mazowieckie według opinii Wojewódzkiego Wydziału Kultury i działaczy z terenu powiatu, Komisja Koordynacyjna pracuje podobno nieźle. Po dokładniejszej analizie tej działalności bliżej jednak prawdy wydaje się twierdzenie, że pracowała nieźle. Bo w roku bieżącym nie zanotowano ze strony zakładów żadnych wpłat na konto komisji. W roku ubiegłym meblarnia, przetwórcza owocowo-warzywna, PSS, GS wpłacały pełne sumy na wspólne poczynania kulturalne. W roku bieżącym

władze finansowe zabroniły dokonywania wpłat na konto komisji koordynacyjnej. Ale za to z drugiej strony GS w powiecie ma ambicje utworzenia w każdej gromadzie klubu-kawiarni. Na te poczynania znajdują się pieniądze. Nasuwa się więc pytanie — czy w tej kwestii nie przydałoby się krótką wymianą zdań w łonie Powiatowej Komisji Koordynacyjnej? Wylania się problem hierarchii potrzeb — traktowany chyba gdzieś gdzieś zbyt bez troski.

W sposób nieschematyczny układa się praca kulturalna w Zambrowie, gdzie realizowane są konsekwentnie wieloletnie plany organizacji wiejskich ośrodków kultury, tzw. świetlic-ko-remiz. Placówka taka mieści zazwyczaj bibliotekę z czytelnią, klub z kawiarnią, salę kinowo-improwizowa. Np. świetlica-remiza w powiecie zambrowskim w gromadzie Srebrna. Inwestycja w poważnej mierze wykonana dzięki czynowi społecznemu mieszkańców gromady. Nic więc dziwnego, że Prezydium Powiatowej Rady Narodowej po zasięgnięciu opinii Komisji Koordynacyjnej przyznaje dodatkowo na prace wykończeniowe dotację w wysokości 50 tysięcy złotych. Wiele podobnych świetlic-ko-remiz powstaje również w powiecie hajnowskim.

Wydaje się, że tworzenie wspólnym wysiłkiem, a nie samym groszem państwowym, lepiej zorganizowanych i lepiej wyposażonych placówek kulturalnych, zwłaszcza we wsiach i w małych ośrodkach miejskich — gdzie brak domów kultury — stanowić powinno zasadniczą część składową powiatowych programów rozwoju kultury na lata najbliższe i to nie tylko w województwie białostockim.

Tych kilka spostrzeżeń z terenu mającego spore ambicje w zakresie upowszechniania kultury wskazuje na potrzebę pełniejszego wykorzystania rezerwy energii społecznej znajdujących się niewątpliwie wszędzie, a nie wszędzie w pełni wykorzystanych na rzecz kulturalnego awansu Polski powiatowej.

Krzysztof Wójtowicz

# ZIMOWA WYSTAWA OKRĘGOWA

**W**IOSENNE i zimowe, czasami jesienne wystawy lubelskiego środowiska plastycznego nabrały charakteru imprez tradycyjnych, stając się swoistym podsumowaniem kilkumiesięcznych okresów pracy twórczej artystów. Dobra ta tradycja posiada wszelkie możliwości przekształcenia się w trwały fakt kulturalny.

Oto możemy odnotować ekspozycje dające pełny przekrój lubelskiego środowiska artystycznego, rejestrując niemal wszystkie kierunki i tendencje żywotne na naszym terenie; otwarta 13 grudnia 63 r. w salach wystawowych BWA Zimowa Wystawa Okręgowa zgromadziła około stu prac malarskich, grafiki i rzeźby.

W malarstwie w dalszym ciągu egzystuje widzenie „kolorystyczne”, z tym, że poszczególne realizacje okresu wysoki poziom przejawiający się indywidualnym przetworzeniem „alfabetu” kolorystycznych założeń (Z. Kononowicz i J. Abramowicz).

Aby jednak uniknąć „szufladkowania” poszczególnych twórców, co zazwyczaj prowadzi do uproszczeń i często fałszywych uogólnień, ograniczmy się jedynie do identyfikacji pozostałych tendencji, którymi są: realizm syntetyczny i wiele odmian malarstwa abstrakcyjnego (nazwa niebyst szczęśliwa). W tych szeroko zakreślonych ramach spotkać można szereg wybitnych dzieł, do których należy „Portret” H. Szulca. Lądowanie figuratywnego motywu zredukowanego do znaku — symbolu plastycznego, wnikającego w zielonkawo-brązowej, przetrwałej białej powierzchni „mur”, daje wprost nieograniczone możliwości interpretacji, od skłóceń z paleoindyjskim rysunkiem na ścianie groty począwszy.

Natomiast w „Kompozycji” K. Kurzańskiego estetyczne smaczki doświadczonego artysty na pomarańczowym tle, z którego wyrasta ciemne kłace (7), sprawiła pewien zawód tym, co widzieli poprzednio eksponowane, pełne dramatycznej powagi struktury artysty, siłone i wielorakiego tworzywa (czeliska, kora etc.).

Pozytywnym przykładem metaforycznego malarstwa są na wystawie „Formury” J. Ziemskiego działające rytmiką i uchwytą atmosferą obcowania ze światem „ożywioną” materią.

Inne widzenie świata przynoszą prace W. Filipiaka. Wierny jego obiektywnym przejawom, czerpiąc z nich inspirację, przetwarza formy, dając syntezę przedmiotów i zjawisk, czego najlepszym przykładem są znakomite akwarele z cyklu „Kazimierz”. Podobnie syntetyczna i zwarta kompozycja „Martwa natura” E. Pola uwiadamia indywidualne podejście do znanego motywu.

Ogólnie wysoki poziom wystawy posiada jednak pewien mankament, a jest nim niedobór tematyki współczesnej i to w ramach malarstwa figuratywnego, które z uporem obraca się w kręgu martwych natur i innych skonwencjonalizowanych dzieł kompozycji. Po kilku wizytach na lubelskich wystawach odnosi się wrażenie, że najcenniejszym motywem godnym ciągłego obrazowania, jest właśnie martwa natura i pejzaż postimpresjonistyczny. Mielimy jednak nadzieję, że zbliżający się Rok Ziemi Lubelskiej i XX-lecie PRL zwrócą uwagę artystów na rzeczywistość obiektywną i społeczną. Suggestywny dramatyzm „Wysiedleńców” E. Nadulskiego, obraz o głębokim i uniwersalnym podtekście humanistycznym, ukształtowany oszczędnie, lecz realistycznie formą, a także pewne prace J. Olejnickiego, J. Abramowicza, W. Filipiaka i T. Kosiorkiewicza nie wyczerpują przecież wszelkich możliwości tematycznych związanych z życiem i najważniejszą historią społeczeństwa.

Grafika lubelska już obecnie reprezentuje wysoki poziom, mimo niewielkiej liczby grafików działających na Lubelszczyźnie. Zapowiadane wcześniejszymi pracami dążenie do indywidualnego wyrazu w twórczości Z. Strzyżowskiego, zaczyna przynosić oryginalne wyniki. Linoryt „Spadochroniarz” łączący w antropomorficznej całości, elementy mechaniczne — to już wysokiej klasy grafika, wiele mówiąca o technicznej biegłości autora i jego inwencji twórczej.

Syntetyczne, gipsowe „Macierzystwo” S. Strzyżowskiego i drewniana „Rodeina” M. Oleszczuka należą do najcenniejszych realizacji lubelskich. Ekspozycję autorstwa F. Włoska urozmaćcają zabawki L. Szpineki i „Artony” W. Horowskiego.

Ireneusz J. Kamiński



# Powroty i odwroty

STANISŁAW ŚWIERAD

**W** LIŚCIE, który wczoraj otrzymałem, poruszasz ważną sprawę. Zapytujesz, czy powrót inteligenta do rodzinnej wsi lub miasteczka nie jest połączony z pewnym ryzykiem? I dajesz od razu odpowiedź: że sam nigdy nie odważyłbyś się na powrót do L.

Przyznam się, że problem ten nie jest dla mnie obcy. Cztery lata temu przebywałem kilka tygodni w Krakowskim. Przypadkowo trafiłem w okolice Lysej Góry, na której kiedyś odprawiali rzekomo swe tajemne praktyki czarownicy, a dzisiaj wiejskie dziewczęta wyrabiają znane na cały świat kamionkowe naczynia i ozdóbki. Lysa Góra, do niedawna biedna, nędzna wieś galicyjska, stała się wsią zamożną, kulturalną, światłą.

Oczywiście cała ta metamorfoza nie odbyła się tajemnie, za dotknięciem jakiejś czarodziejkiej różdżki. Ogromne zasługi w przeobrażeniach gospodarczo-społecznych, jakie dokonały się w Lysej Górze, ma Franciszek Mleczko, inteligent, krajanin, który po studiach nie wyemigrował w daleki świat, ale tu pozostał, działał i teraz może być dumny z tego, że jego rodzina Lysa Góra jest niemal miasteczkiem.

Po powrocie do Białegostoku postanowiłem odnaleźć podobnych inteligentów, którzy nie zdradzili po studiach rodzinnych Lysych Gór. Początkowo myślałem, że być może ich nie znaję. Obawy te były jednak nieuzasadnione. Niedaleko Białegostoku, we wsi R., mieszkał młody lekarz, absolwent naszej Akademii Medycznej, Jan L. On również, podobnie jak Franciszek Mleczko, powrócił po studiach do rodzinnej miejscowości.

Jan L. nie lubi, gdy ktoś próbuje porównywać jego decyzję powrotu do R. z rozpaczliwą, tragiczną decyzją dr Judyńca z „Ludzi bezdomnych”. Powrócił do R. dlatego, że po prostu chciał pracować wśród swoich znajomych, krewnych, wśród mieszkańców rodzinnej i okolicznych wsi, którzy na gwałt potrzebują pomocy lekarskiej. Nakłonił rodziców do przekazania na ośrodek zdrowia połowy nowego, obszernego budynku.

Mieszkańcy R. początkowo byli dumni ze swojego Janka, lekarza, który wcale się nie powstydział tych, co pamiętają, jak to dzisiejszy eskulap pasł krowy na pastwisku, a wcześniej — gości. Ba, przechwalali się na jarmarku w L., że sąsiednie, tysiącletnie miasteczko nie ma lekarza i chyba szybko mieć nie będzie, bo mimo obfitych zarobków kandydaci się nie zgłaszają, a oni, w R., posiadają na miejscu ośrodek zdrowia, punkt apteczny, lekarza.

Lekarz na wsi źle nie zarabia. Czyż więc wypada się dziwić, że Jan L. mieszkając u rodziców stęskniewo szybko nabył samochód, następnie telewizor.

I wtedy się zaczęło. Ludzie gdy przystawali przed ośrodkiem zdrowia, nie spoglądali już jak dawniej na szyld, ale na wysoką, zbudowaną z grubych i wysokich drągów antenę. Po pewnym czasie oprócz pacjentów w ośrodku zdrowia zaczęli się pojawiać różni... kontrolerzy.

— Dadzą mi samochód — szeptała sąsiadka.

— Ma teraz ciekawszą telewizję — dodawali z przekąsem inni.

Młody lekarz dostrzegał, jak traci autorytet. Wiadomo — w ośrodku była kontrola. Coś tam musiało już być. Poczęły go dreczyć wątpliwości. Czy słusznie postąpił decydując się na powrót do R.? Owszem, mógłby spać spokojnie, wyjechać do miasta lub w inne okolice, ale czy byłoby to najszlachetniejsze wyjście? Czy nie oznaczałoby kapitulacji, więcej, przyznania się do... Do czego?

Pewnego razu powiadomiono go, że ma się stawić na posiedzenie gromadzkiej rady narodowej. Chciał pójść, ale naprawdę nie mógł, bo wzywano go do chorego. Nie poszedł.

— Patrzcie, lekceważy władzę. Jaki pan z niego.

Nie wiem, czy Jan L. pracuje jeszcze w R. Kiedy widziałem się z nim ostatni raz, poważnie zastanawiał się

nad tym, gdzie najlepiej wyemigrować: na inną wieś czy do miasta? „Jak radzicie, redaktorze?”

Pamiętam, że zawstydziliem się i nie mu nie odpowiedziałem. To ostatnie moje spotkanie z Janem L. przypomniało mi się dzisiaj, kiedy czytałem Twój list. Doskonale rozumiejąc zajęte przez Ciebie stanowisko. Sądziłem jednak, że może Jan L. nie powinien być traktowany jako typowy, charakterystyczny przykład. Dlatego postanowiłem poszukać innych młodych inteligentów, którzy powrócili do rodzinnych wsi i miasteczek.

Następnego znalazłem w B. koło Grajewa. Tym razem był to agronom, Stanisław Gw., absolwent Technikum Rolniczego. On również zdecydował się na powrót do rodzinnej wsi. Czy mu się powiodło? Stanisław Gw. wcale przede mną nie ukrywał, że praca we własnym środowisku jest niezwykle trudna, kłopotliwa i czasem niewdzięczna. Rolnicy z B. mają sporo łąk. Dotąd karmili bydło wyłącznie sianem. Agronom zaczął ludziom tłumaczyć, że należy dawać bydłu kiszonki. Długo rozwodził się o witaminach.

— Patrzcie, każe krowom dawać pastylki! — śmiał się z młodego agronoma Marian M.

Ileż zachodów kosztowało Stanisława Gw. przekonanie rolników, a więc przeważnie starych znajomych i bliskich krewnych, że trzeba koniecznie budować silosy. Pierwszy silos sam w wsi pobudował. Kiedy rolnicy zobaczyli, że krowy Stanisława Gw. dają więcej mleka, lepiej wciągają, powoli, ostrożnie zaczęli przystępować do stawiania silosów. Może nie uwierzyście, ale drugi silos wybudował Marian M., ten sam, który wyśmiewał się z pastylek! Za agronomem i nawróconym Marianem M. poszli inni.

Znajomi i krewni nabierają szacunku do młodego absolwenta technikum rolniczego. Czy oznacza to jednak, że Stanisław Gw. może być w pełni zadowolony z powrotu do rodzinnej wsi? Wcale nie ukrywał, że w innej, obcej wsi miałby przez te trzy lata na pewno lepsze wyniki.

Chociażby takie, jak dr Janina R., kierownik ośrodka zdrowia w B. Prawda, ona jest starsza od Stanisława Gw., ma większe doświadczenie życiowe, ale mimo że dobrze, nawet bardzo dobrze zarabia, nigdy jeszcze nie ustąpiła od rolników na ten temat jakichś aluzji. W B. cieszy się ogromnym poważaniem. Opowiadano mi, że jeśli miejscowym aktywistom nie udaje się namówić mieszkańców B. do czynu społecznego, zaraz proszą o pomoc lekarke. Janina R. wszyscy usłuchają.

A więc, Przyjacielu, sprawa istotnie nie jest taka prosta. Owszem, odnalazłem w niektórych miejscowościach w Białostockim inteligentów, którzy powrócili do rodzinnych Lysych Gór, ale nie udało mi się spotkać ani jednego, który byłby w pełni zadowolony z powrotu.

W jednej ze wsi pracuje młoda nauczycielka, Zofia R., Przepraszam, pracowała, ale po czterech miesiącach przeniosła się do innej szkoły.

Ona również powróciła do swoich. Wszyscy się cieszyli, kłaniali, przymilali, a'e tylko do półroczka. Zofia R. postawiła kilka dwójek. Boże, co się wtedy wyprawiało we wsi! Ludzie jeździli ze skargami, doniesieniami, wygadywali na młoda nauczycielkę niestworzone rzeczy. Jak mogła, smarkuła, postawić Frankowi dwójki? Albo nazwem Józkwowi? Myśmy się cieszyli, że będziemy mieć swoją nauczycielkę, że... A tu masz, babo, placek!

O, Zofia R. za żadne skarby już nie powróci.

Tak, trzeba niestety stwierdzić, że młodzi inteligenci nie kwapą się z powrotem do rodzinnych wsi i miasteczek. Przypominam sobie, jak pewien przewodniczący prezydium powiatowej rady narodowej żalił się, iż nie może znaleźć wśród studentów pochodzących z jego powiatu kandydatów na stypendia fundowane. Rozmawiano z wieloma słuchaczami wyższych uczelni, którzy pochodzą z miasta powiatowego i okolicznych wsi, ale naderaz.

A z Koszalina, Zielonej Góry, Wrocławia wzięli później stypendia — dziwił się ów przewodniczący i długo wyrękał na dzisiejszą młodzież.

Wydało się, że sprawa powrotu młodych inteligentów w rodzinne strony to problem niezwykle złożony. Chyba przyczyn rezygnacji z powrotu należy szukać nie w rzekomej „bezdzielnoci”, przechorze i złej woli obecnego młodego pokolenia. Zgodziły się, że powrót absolwenta uniwersytetu lub akademii medycznej w rodzinne strony połączony jest z dużym ryzykiem. Liczne przełady dowodzą, że takie powroty bardzo często kończą się po prostu odwrotami.

## Stan zagrożenia

**W** NOWY ROK rozbiąkuje się worek życzeń tak dobrych i mądrych, że mogłyby rozpraszać zmarznięte na czołach i odcieść sól z ludzkich poczyną. Ale życzenia, choć najszlachetniejsze stanowią zwykły świąteczny ceremonial. Ta miła retoryka spływa po czołowieku i wsiąka w codzienne zachwaszczone poletko. Zbyt dokładnie tego nie widać, bo teraz toszędzie śnieg.

Śnieg — to właściwie taki sam chwał, tyle że biały. W Kielcach spadł nagle i wszyscy zaczęli się irtować. Od razu pierwszego dnia kilka nacię kraks, potrzaskane słupy sygnalizacji ulicznej, pogięte karoserie, wybite szyby. Tu i tam ślizgały się po ulicach milicyjne „warszawy”. Funkcjonariusze mierzyli, opisywali wypadki, choć i bez tego wiedzieli, kto ponosi winę. Oczywiście ci, którzy nie posypali ulic piaskiem. Na drugi dzień winowajcy tłumaczyli się gęsto. Ich zdaniem mieli za sobą potężny argument: śnieg spadł w niedzielę, więc choć wszystko było przygotowane, nikt nie wyszedł na jego spotkanie. Niedziela, to przecież dzień odpoczynku. Zupelnie jak w piosence, która głosi: „wójna nie odbędzie się, bo generał jeszcze śpi”.

Czego zatem życzyć mamy sobie w nowym roku? Kto chce niech mówi sto lat, żąda pieniędzy, zdrowia i tak dalej. Ja tam wolę życzyć nam wszystkim, żebyśmy przestali bawić się w dzieci. Wdzięk może w tym jest, a także coś ze skautingu, ale ponieważ życie wymaga na ogół dorosłych decyzji, lepiej żeby kuse majtki poszły wreszcie precz. Chcę przy tym powiedzieć, iż jako realista w skuteczność nagich życzeń zupełnie nie wierzę. Więc w co?

Niezmiernie popularny profesor Sawicki narzekał kiedyś na pewien aspekt polskiego ustawodawstwa karnego. Stwarza ono pojęcie „stan zagrożenia”, które jest nieznanne np. prawu francuskiemu i anglosaskiemu. Pojęcie to czyni karalnymi takie postęпки, które, jakkolwiek nie spowodowały żadnych strat materialnych, to jednak stworzyły sytuację zagrażającą czyjemuś zdrowiu lub mieniu. Profesor słusznie ubolewał, że stan zagrożenia jako kategoria prawna nie sprzyja rozwojowi nauki, zwłaszcza techniki, zniechęca do podejmowania badań. Zrozumiałe, bowiem w ten sposób dozwolone ryzyko eksperymentatora właściwie nie istnieje, gdyż każde jego posunięcie łatwo podciągnąć pod ów stan zagrożenia.

A jednak sądzę, że ten szczególny aspekt polskiego prawa można wykorzystać w dziesiątkach sytuacji jako oręż działający w interesie publicznym. Wszak ci, którzy nie posypali ulic piaskiem stworzyli klasyczny stan zagrożenia. Czy będą odpowiadali przed sądem? Tego jeszcze nie wiadomo, ale prokurator w Kielcach wysłał już pismemka do władz miejskich z żądaniem zbadania sprawy i wskazania winowajców. Mówicie co chcecie, ale w takie czyny wierzę bardziej niż w życzenia.

Ja wiem, że może to trochę niezdolnie wyjeżdżać z prawem karnym gdy wszyscy żyją sobie najlepszym. Więc już nie będę wołał, aby „stan zagrożenia” rozciągał również na sferę zagrożeń moralnych. A można by się tego domagać wzięwszy pod uwagę choćby takie wydarzenie:

W „Delikatessach” pojawiła się codzienna porcja masła. Kolejka uchy przeszło pół setki dusz, a wymarzone kostki sprzedaje się na stoliku wraz z kawą, cukrem, waflami i paru dziesiątkami innych towarów. Kolejka przesuwa się w złotym tempie defilując przed stoiskiem napoi orzeźwiających, gdzie ekspedientka nudzi się i poziewa. Interwencje u personelu nie odnoszą skutku. Taka jest organizacja sprzedaży i nie trzeba w niej poprawiać. Przy okazji ktoś ujawnia, że w podręcznym magazynie spoczywa kilkanaście głów sera. Dlaczego nie ma ich w sklepie? — Sprzedamy masło, to zaczniemy sprzedawać ser — pada odpowiedź sług Merkurego.

Więc mimo wszystko może jednak warto zabiegać, aby „stan zagrożenia” chronił nie tylko życie, mienie i zdrowie, ale także nerwy trzdzestu milionów obywateli?

Jędrzej

Brałem udział w dyskusji o roli inteligencji w małym miasteczku P., niedaleko wspomnianego już poprzednio Grajewa. Jeden z dyskutantów opowiadał, że namawiał kolegę, który właśnie ukończył wyższą szkołę rolniczą, aby powrócił do rodzinnej wsi, która poszukuje agronoma. Kategoriecznie odmówił. A wiesz dlaczego? Posłuchaj:

— Zrozum, że ja nie mogę wrócić — tłumaczył naszemu dyskutantowi świeżo upieczony absolwent wyższej szkoły rolniczej — ponieważ zaraz wszyscy znajomi będą mnie namawiać na „ćwiartkę”. Jak im odmówić? A nie raz zaczyna się od jednego jedynego kielszka, a kończy w kryminale.

Tak, to jeszcze jedno ryzyko. Poważne. Znalazłem w swoich wędrownkach po województwie i takich młodych inteligentów, którzy powrócili w rodzinne strony szybko się rozpilli. No bo jak odmówić wujkowi, kuzynowi, sąsiadowi, z którymi łączą cz'owieka silne więzy od lat dziecińczych? Czy tego również nie można w pewnym stopniu nazwać odwrotem?

Niestety, ale zdarzają się takie fakty. Oczywiście są wyjątki takie, jak w Lysej Górze koło Krakowa, ale — jak wiesz — nigdy wyjątki nie potwierdzają reguły. Wydaje się, że w rodzinne strony można wracać, ale nie prosto z uczelni. Potrzebne jest oprócz dyplomu ukończenia studiów wyższych nawet z najlepszymi ocenami, coś więcej, a mianowicie bogate doświadczenie życiowe, praktyka i... odpowiedni osobie. Przynajmniej takie jest moje osobiste zdanie.

Oczywiście, nie mam bynajmniej zamiaru kwestionować potrzeby, więcej — konieczności podejmowania pracy na wsi przez młodych absolwentów wyższych uczelni i szkół średnich. Sprawa ta została definitywnie rozstrzygnięta chyba nawet nie dziś, ale dużo wcześniej, w okresie pozytywizmu. To, co postulowali Prus czy Orzeszkowa, na pewno aktualne jest obecnie. Poruszając w liście do Ciebie zagadnienia „powrotów” i „odwrotów” chciałem jednak zwrócić uwagę że się tak wyrażę — na margines tego problemu, margines bardzo ważny, kłopotliwy i niekiedy bolesny.

## PLASTYCY BIAŁOSTOCCY W WARSZAWIE

**D** ZIEKI zaproszeniu i pomocy warszawskiego okręgu ZPAP plastycy Białegostoku mogli pokazać swój dorobek twórczy na zbiorowej wystawie w Galerii MDM. Ekspozycja otwarta 9.XII. zgromadziła kilkadziesiąt prac malarskich 24 artystów, dając tym samym szeroki przegląd aktualnych i dość różnorodnych kierunków rozwoju białostockiego malarstwa.

Jednakże, gdyby nie pewna grupa prac, trudno byłoby mówić o rozwoju, a raczej należałoby ograniczyć się do stwierdzenia konsekwentnej kontynuacji twórczości opartej na potocznym widzeniu, ukształtowanej w XIX wieku, oraz tej, która nawiązuje do metod wypracowanych w latach dwudziestych przez kapistów naszego stulecia. Sentymencie pejzaże, bukiety kwiatów, obfite oblicza portretów i wazy sanitarne zanurzone w pianistwym płacu, nie świadczą o własnym i twórczym widzeniu, pozostawiając zarazem wiele do życzenia pod względem malarzkiej realizacji. Nawet w ramach wspomnianych, a przyjętych konwencji.

Do wyjątkowych należy zaliczyć kolorystyczne pejzaże T. Boleza, które przedstawiają się bardziej interesująco dzięki niemyślnemu rozmieszczeniu rozjaśnianych kolorów, wywołujących wrażenie całkowitej harmonii i wzajemnego uwarunkowania poszczególnych elementów. Równie ciekawe (także jako dokument wartościowe i żywotnego niegdyś kierunku) są formalistyczne „Kompozycje” A. Zabskiego i „Mazurki” M. Zabskiej.

Pomimo wyraźnych wstępnie zastrzeżeń dotyczących metod realizacyjnych właścicieli dla twórców starszego pokolenia środowiska białostockiego wykazuje wyraźne znamiona ewolucji, a fakturalne, osiowe „Kompozycje” J. Leniewicza, wspaniałe kolory i aluzyjne formy obrazów D. Fabanowskiej i J. Fabanowskiego oraz syntetyczne formy W. Serwan („Sowy”) reprezentują współczesne kierunki malarzskich rozwiązań.

Prezentacja dorobku twórczego ośrodków prowincjonalnych w galeriach warszawskich jest faktem oczywiście pozytywnym, z tym jednak, że wskazana jest bardziej przemysłowa i ostrzejsza selekcja zestawu obliczonego przecież na publiczność o dość wysokim wyrobieniu estetycznym, nie mówiąc już o krytyce profesjonalnej. Wiem, że białostocki ZPAP stał na krytycyzm, czesno najlepszym dowodem wartościowego zestawu nadesłany na ubiegłoroczną Wystawę 4 Województw.

I. J. Kamiński



(Dokończenie ze str. 12)

środków masowego przekazu w kształtowaniu kultury socjalistycznej. Prasa, radio, książka, film, a ostatnio telewizja „Przenikając głęboko do wszystkich dziedzin życia zbiorowego, publicznego oraz rodzinnie-prywatnego, rewolucjonizują i zmieniają w radykalny sposób sytuację kulturalną kraju”. Otwierają nowe możliwości upowszechniania kultury. Ta nowa sytuacja decyduje także o obecnej sytuacji placówek kulturalno-oświatowych i amatorskiego rucnu artystycznego. Placówki k. o. stoją bowiem wobec nacisków coraz wyższych wymagań własnego środowiska i muszą zaspokajać zapotrzebowania zgłaszane przez nowego jakościowo odbiorcę. Następnie autor polemizuje z tymi tendencjami, które przepowiadają zmierzch amatorskiego ruchu artystycznego, że masowe środki przekazu czynią jego działalność bezprzedmiotową. Rzeczywistość nie potwierdza tych pesymistycznych diagnoz. Może tylko ruch teatralny jest najbardziej zagrożony. Inne dziedziny działalności (zespoły muzyczne, taneczne) ostają się i ich liczba wcale nie maleje. Amatorski ruch artystyczny będzie miał — zdaniem publicysty — przed sobą wielkie perspektywy, jeśli wzbogaci swoją działalność o nowe akcenty: „Poza kulturalną rozrywką jedną z ważnych funkcji amatorskich zespołów artystycznych, warunkującą ich istnienie w nowej sytuacji, jest praca oświatowo-wychowawcza, rozwijająca znajomość uprawianej amatorsko sztuki i miłośnictwo określonej dziedziny sztuki wśród uczestników zespołów”. Mogą bowiem zespoły artystyczne wykształcić wrażliwych i krytycznych odbiorców radia, telewizji, i rozmaitych dóbr kulturalnych. Przykładem żywotności i prężności tych form miłośniczej działalności może być ruch recytatorski, obejmując ponad 100 tys. osób, teatry poezji itp. Amatorski ruch artystyczny może być według autora ruchem społecznym o doniosłym w skutkach działaniu, trzeba tylko stworzyć należyty klimat dla jego aktywności.

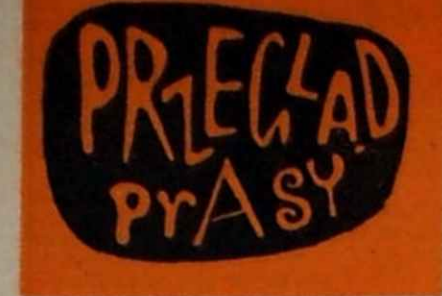
T. K.

kondygnacyjnych budynków, a w najbliższym czasie ma osiągnąć wyjątkowość 24 budynków mieszkalnych. Poszczególne domy składają się z dwudziestu różnych typów prefabrykowanych elementów, które wykonuje się systemem mechanicznym i tasmowym, co znacznie obniża ich i tak niewysokie koszty. Wewnętrzne ściany mieszkań pokrywają tapety w delikatne i miłe wzorki, a podłogi tworzą kolorowe, plastikowe płytki o wymiarach 20 x 20 cm. Według relacji uczestnika wycieczki architektów polskich do ZSRR inż. arch. Woski, wykonawstwo, w przeciwieństwie do lat ubiegłych, nabrało cech solidnej roboty, mającej na uwadze wygodę przyszłego użytkownika. Obok elementów prefabrykowanych i plastikowych stosowana jest również tradycyjna cegła, a w miastach południowych republik (Erywań, Baku) materiał miejscowego pochodzenia. W Erywaniu będzie nim tuf wulkaniczny, łatwy do uzyskania, cęty w bloki o bokach 30 x 10 cm, o przyjemnym różowym lub żółtawym kolorze świetnie harmonizującym z krajobrazem. Materiałem budowlanym używanym w Baku jest tzw. „izwiestniak” pochodzenia morskiego, kredowego, szary w kolorze, pałującym się na powietrzu. Świetnie zachowane fragmenty zabtkowych budowli z XI i XII wieku zbudowane przy użyciu „izwiestniaka” pozwalają mówić o wielkiej jego trwałości. Przytoczone przed chwilą przykłady wskazują na wykorzystywanie wszelkich możliwości mogących obniżyć koszty budownictwa, a co zatem — szybciej zaspokole potrzeby mieszkaniowe społeczeństwa. Urbanistyka jest tym działem budownictwa radzieckiego, w którym echa

popelnionych w przeszłości błędów odzwierciedla się najwyraźniej. Równoległe, szeregowo zestawione budynki, mało zróżnicowane plany i zabudowa tzw. parawanowa — wskazują, że w tej dziedzinie urbanistyki radzieckiej mają wiele do nadrobienia. Jednakże szereg projektów charakteryzujących całkowicie nowoczesną koncepcję urbanistyczną dostosowaną do współczesnych warunków życia zbiorowego, realizująca się poprzez zerwanie z symetrią kompozycji urbanistycznej, którą dawniej nie liczyła się z ukształtowaniem terenu. Coraz częściej pojawiają się urozmaicone plany urbanistyczne swobodnie komponujące obiekty osiedlowe o różnych wysokościach — budynki mieszkalne, pawilony usługowe, rekreacyjne. Przykładem współczesnej w pełnym słowa tego znaczenia myśli architektoniczno-urbanistycznej może być projekt moskiewskiego eksperymentalnego osiedla mieszkaniowego, o swobodnej zabudowie, operującej także „matą architektury” pomieszczeń usługowych. Obok wspomnianego osiedla należy postawić projekt miasta-satellity pod Leningradem, które stanowi zaprzeczenie dawniej stosowanej zabudowy na wydzielone „bloki-kwartaly” otoczone ulicami wyznaczającymi kerunek lokalizacji.

Wspólnym mianownikiem działalności radzieckich architektów i urbanistów można by określić zwalczanie istniejących jeszcze pozostałości minionego i uzyskanie wielu poważnych osiągnięć, wnoszących nowe wartości, które m. in. wyznaczają drogę do zapewnienia radzieckiemu społeczeństwu optymalnych warunków życia.

Ireneusz J. Kamiński



Dziesiąta rocznica śmierci Juliana Tuwima i Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego została uczczona przez prasę tygodniową bogatym zestawem materiałów i artykułów. Pamiętały o tych rocznicach także miesięczniki. Dialog np. publikuje trzy wypowiedzi o Tuwimie jako człowieku związanym wielu niemi z teatrem. „Jedną z wielkich pasji Tuwima” — pisze J. Brodzki w artykule „Tuwim w teatrze” — „kto wie, czy nie największą — był teatr”. O urzuceniu Tuwima magią teatru mówi w swym wystąpieniu J. Warnecki oraz J. Jurandot w wypowiedzi zatytułowanej „Teatr mój widzę zabawnym”. Piszcie on: „O Tuwimie — człowieku teatru nie pisze się wcale, bądź zbywa się ten temat drobnymi, marginesowymi wzmiankami. Nie wątpię, że przyjdzie w końcu chwila, gdy teatralnym dorobkiem Tuwima zajmie się ktoś powołany, gdy wydobędzie się z teatralnych archiwów wszystko, co ocalało z jego bujnej twórczości w tej dziedzinie”. Jurandot upcina się o książkowe wydanie teatralnego dorobku poety. Postulat jak najbardziej słuszny, tym bardziej, że czytelnikowska publikacja „Dzień” Tuwima nie została jeszcze zamknięta.

Nowe drogi przynoszą bardzo ciekawy artykuł Z. Garzeckiego „Nowe aspekty ruchu społeczno-kulturalnego”. Punktem wyjścia rozważań autora jest przypomnienie i uświadomienie faktu stale wzrastającego udziału

momentem, mianowicie tuż przed „gwiazdką”.

Józef Czechowicz: „Jesień”. S. 8 nrb. Nakład 50 000 egz. Cena 5 zł. Czwararty już tomik dla dzieci, tym razem ilustrowany przez Marię Urban. Dzięki niemu dziejące publikacje Czechowicza osiągnęły już imponujący nakład ponad 200 000 egzemplarzy.

Zbigniew Słaczka: „Zbliżenia”. S. 29, 3 nrb. Nakład 1000 egz. Cena 5 zł. Jest to już XXI tomik Lubelskiej Biblioteki Poetyckiej, na który złożyły się wiersze młodego poety białostockiego.

Stanisław Buczyński: „Maki”. S. 63, 1 nrb. Nakład 1000 egz. Cena 10 zł. Jest to trzeci tomik Lubelskiej Biblioteki Ludowej pod redakcją Romana Rosiaka. Tomik stanowi debiut książkowy ludowego poety z Hrubieszowa, mającego już w swym dorobku ponad 1000 publikowanych wierszy. Książkę zamyka fragment wspomnień autora, „Maki”, podobnie jak i trzy następne tomiki, otrzymały bardzo przyjemny sztyt graficzny, którą opracowała Maria Urban.

Władysław Kuchta: „Bławatki”. S. 39, 2 nrb. Nakład 1000. Cena 5 zł. Czwararty tom Lubelskiej Biblioteki Ludowej, na który złożyły się wiersze rolnika z Molodutyna w pow. chełmskim, ilustrowane jego wycinankami. Debiut książkowy autora.

Bronisław Pietrak: „Kąkol”. S. 31, 1 nrb. Nakład 1000. Cena 5 zł. Piąty tom Lubelskiej Biblioteki Ludowej. Debiut książkowy jednego z najpopularniejszych twórców ludowych na Lubelszczyźnie. Tomik jest ilustrowany wycinankami poety.

Jan Pócek: „Malwy”. S. 62, 2 nrb. Nakład 1000. Cena 7 zł. Szósty tom Lubelskiej Biblioteki Ludowej. Drugi po „Zgrzebnych pieśniach” (1947) tomik bodaj na wybitniejszego artysty spośród współczesnych poetów ludowych Lubelszczyzny.

Józef Kapuściński: „Niezapominajki”. S. 31, 1 nrb. Nakład 1000. Cena 5 zł. Siódmy tomik Lubelskiej Biblioteki Ludowej. Autorem wierszy jest jeden z naistarszych i najbardziej zasłużonych współczesnych ludowych pisarzy polskich, obecnie mieszkający w Przemyslu. Jest to jego trzeci tomik poetycki, po wydanych przed wojną dwóch zbiorach: „Spod chłopskiego pióra” i „Chaty w słońcu” (1937).

Lubelski Rocznik Pedagogiczny. Tom 1. S. 230, 2 nrb. Tom ten otwiera nową serię wydawniczą powołaną do życia przez Komisję Współpracy Kuratorium Okręgu Szkolnego w Lublinie z UMCS. Książka dzieli się na sześć działów: 1. Plan reformy szkolnictwa w województwie lubelskim, 2. U podstaw reformy systemu nauczania, 3. Zagadnienia realizacji nowego systemu nauczania, 4. Prace eksperymentalne w zakresie nowego systemu nauczania, 5. Projekty dalszych badań oraz 6. Wychowanie. Zwraca uwagę fakt, że oprócz znanych pedagogów lubelskich, jak Edward Zacharkiewicz, Zygmunt Bownik i in. prace publikują w tomie także wybitni naukowcy polscy z Warszawy: Bogdan Suchodolski, Kazimierz Sońnicki i Wincenty Okoń. Na szczególne podkreślenie zasługę dzieli czwartym, w którym nauczyciele i naukowcy lubelscy dzielą się doświadczeniami i opisują przeprowadzone eksperymenty.

„Polesie Lubelskie”. Materiały z Sesji Naukowej Polskiego Towarzystwa Geograficznego. S. 203, 3 nrb. + mapy. Nakład 700 egz. Wydawnictwo przygotowane na zlecenie Rolniczego Ośrodka Naukowo-Badawczego PWRN w Lublinie. Na tom składają się prace lubelskich naukowców poświęcone budowie geologicznej, klimatu, glebom, szacie roślinnej i charakterystyce gospodarczej Polesia Lubelskiego.

Józef Ryszard Szaflik: „Wieża lubelska w połowie XVII wieku. Problem zniszczenia wojennych i odbudowy”. S. 182, 2 nrb. Nakład 800. Cena 18 zł. Kolejny tom z cyklu Tysiąclecie

WOJEWÓDZKI SPOŁECZNY KOMITET PRZECIWKOHOLOWY

ogłasza

KONKURS

na najlepsze opowiadanie, reportaż, fragment pamiętnika, wspomnienie, relację, wiersz itp. (dopuszczone są wszystkie formy) dotyczące skutków alkoholizmu. (Nie ograniczając w zasadzie rozmiarów, najchętniej widzielibyśmy prace nie przekraczające 10 stron maszynopisu). Celem konkursu jest wyczerpanie społeczeństwa na zębne skutki nadużywania alkoholu, pokazanie, jak odbywa się proces rozpłynięcia się, droga od „niewinnego” jednego kieliszka do pijaństwa i wszystkie z tym związane zagadnienia. Konkurs jest przeznaczony wyłącznie dla amatorów. Udział może wziąć w nim każdy, z wyjątkiem członków Związku Literatów i Stowarzyszenia Dziennikarzy.

Za najlepsze prace przyznane będą nagrody:

- I — 10.000 zł
- II — 6.000 zł
- III — 4.000 zł

oraz cenne nagrody książkowe.

Brane będą pod uwagę tylko maszynopisy i czytelne rękopisy. Prace nadsyłać należy do Wojewódzkiego Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego w Lublinie, ul. 22 Lipca 4, pokój II, najpóźniej do dnia 31 marca 1964 r. Nadesłane po tym terminie prace nie będą uwzględniane. Jury składa się z przedstawicieli WSKP, Związku Literatów i Sądu dla Nieletnich.

Nowości Wydawnictwa Lubelskiego

STATNI kwartał roku 1963 był ze wszystkich dotychczasowych bodaj najbogatszy w publikacje Wydawnictwa Lubelskiego. Ukazało się w tym okresie 17 książek (od początku roku 1963), o łącznej objętości 130 arkuszy wydawniczych (łącznie 268 ark. w roku 1963), 127 arkuszy drukarskich (238), o nakładzie 167 000 egzemplarzy (271 000) oraz wartości 1 160 800 zł (2 380 000).

Najwięcej pozycji ukazało się w dziale poezji, bo aż 9. wydawnictwa naukowe i popularno-naukowe reprezentuje 6 książek, zaś albumy i przewodniki — 2. A oto przegląd nowości:

Józef Czechowicz: Wiersze. S. 511, 1 nrb. Nakład 3 000 egz. Cena 45 zł. Pierwsze zbiorowe wydanie wierszy najwybitniejszego poety lubelskiego, które otrzymało bardzo staranną szatę edytor-

ską: płócienna oprawa, estetyczna obwoluta i wyklejka według projektu Krzysztofa Kurzątkowskiego, kilkanaście reprodukcji, rękopisów i zdj.: Czechowicza, oryginalna, ręcznie wykonana płócienna zakładka z inicjałami poety i motywami ludowymi, malowana przez lubelskiego artystę Jana Ziemińskiego, itd. Tom, na który złożyły się wiersze oryginalne poety przedrukowane ze wszystkich jego tomików, jak również zebrane z czasopism i wydobyte z rękopisów, wiersze dla dzieci, ważniejsze odmiany tekstu oraz przekłady poetyckie, został poprzedzony wstępem Romana Rosiaka, poszczególne zaś działy przygotowali do druku: Stanisław Pietrak, Seweryn Pollak, Jan Spiewak, Czesław Janczarski i Kazimierz Andrzej Jaworski. Wiersze Czechowicza są niewątpliwie jedną z najcenniejszych pozycji Wydawnictwa Lubelskiego, które obecnie przygotowuje drugi tom pism poety. Będzie to zbiór utworów pisanych prozą i dramatów.

Józef Czechowicz: „Przy siano-kosach”. S. 8 nrb. Nakład 91 500 egz. Cena 5 zł. Kolejny tomik dla dzieci (po uprzednio wydanych w 1962 r. dwóch książkach: „Jak groch wędrował” i „Bawie bracia”), bogato ilustrowany przez Zofię Kopel-Szulc, w rekordowo wysokim nakładzie, wydany w bardzo odpowiednim



ZAWIADOMIENIE  
Ze względów technicznych, czwartym (ostatnim) odcinek dzienniczka podróży Marii Bechczyc-Rudnickiej po Jugosławii pt. „Teatr i varia” został przesunięty do następnego numeru.